12 stron

Cena 15 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok IV

Kraków, dnia 19 stycznia 1947 r.

Nr 3 (112)

JERZY ANDRZEJEWSKI

ZARAZ PO WOJNIE

POWIEŚĆ

Działalność literacką rozpoczął Jerzy Andrzejewski opublikowanym w roku 1936 tomem opowiadań „Drogi nieuniknione". Sławę zdobył wydaną w 1938 roku powieścią „Ład serca". Ugruntował ją tomem opowiadań „Noc" (1945). Dziś słusznie zalicza się go do czołowych pisarzy polskich. — Począwszy od niniejszego numeru „Odrodzenie" rozpoczyna druk jego nowej powieści „Zaraz po wojnie". Jest to pierwsza powieść polska o temacie współczesnym, powojennym. Wzbudzi niewątpliwie żywe zainteresowanie czytelników.

I

Spostrzegłszy kobietę, która schodziła ulicą w kierunku mostu na Śreniawie, Podgórski skręcił w bok ku trotuarowi i wóz gwałtownie zatrzymał. Dwaj młodzi, w automaty uzbrojeni milicjanci poruszyli się natychmiast czujnie w tyle wozu. Natomiast siedzący przy Podgórskim sekretarz wojewódzkiego komitetu Partii Robotniczej, Szczuka, wyprostował się i podniósł na kierowcę ciężkie, z niewyspania opuchnięte powieki.

— Defekt?

— Nie — uspokoił go Podgórski. — Jedna minuta, towarzyszu, i wracam.

Nie wyłączywszy motoru wyskoczył z otwartego Willysa i głośno stukając po kamieniach podkutymi butami biec począł w dół. Kobieta, którą chciał dogonić, dochodziła do mostu. Chodnik w tym miejscu, jeszcze nie naprawiony, potrzaskany był pociskami artyleryjskimi, musiała więc zejść na jezdnię. Szła wolno, z głową pochyloną, w ramionach także trochę przygarbiona, w lewej ręce dźwigając dużą i wyładowaną torbę.

— Pani Alicjo! — zawołał.

Kossecka była tak zamyślona, że gdy się odwróciła i ujrzała przed sobą młodego mężczyznę ubranego w długie buty, spodnie wojskowe i ciemny sweter pod rozpiętą skórzaną kurtką, w pierwszej chwili nie poznała w nim dawnego aplikanta męża. Ale Podgórski zbyt się śpieszył i zbyt był ucieszony niespodziewanym spotkaniem, aby spostrzec w oczach pani Alicji wahanie.

— Dzień dobry! — pocałował ją w rękę. — Jak to dobrze, że panią zobaczyłem z auta...

Teraz go dopiero poznała po głosie nieco chropawym i charakterystycznym pochyleniu wydłużonej, zbyt wąskiej w skroniach głowy. Musiał się od kilku co najmniej dni nie golić i cień zarostu pociemniał jego chudą twarz.

Postawiwszy ciążącą jej torbę na ziemi, życzliwie się uśmiechnęła. Mimo siwych włosów, licznych bruzd na czole i wielkiego znużenia w oczach uśmiech miała zupełnie jeszcze młody.

— To pan, panie Franku! Jak się pan miewa?

— Ja? Doskonale!

Ostatni raz widziała Podgórskiego przed kilku miesiącami, zimą jeszcze, natychmiast prawie po szybkim, lecz gwałtownym przesunięciu się frontu przez Ostrowiec. Wpadł do niej wówczas któregoś wieczoru dosłownie na kilka minut i w takim samym pośpiechu, w jakim odwiedzał ją kilkakrotnie jeszcze za czasów okupacji, gdy musiał się ukrywać. Od tego czasu nie spotkała go więcej, wiedziała jednak, że wrócił do Ostrowca i od niedawna pełnił funkcje sekretarza PPRu na tutejszy powiat.

Mimo ożywienia, wydał się jej mizerny i zmęczony.

— Nie wygląda pan dobrze, panie Franku.

Machnął lekceważąco ręką. Stojący nieopodal Willys huczał nie zatrzymanym motorem. Nagle zatrąbił dwukrotnie klakson.

— To na pana zdaje się? — domyśliła się Kossecka.

Podgórski odwrócił się z gestem zniecierpliwienia. Duży i ciężki Szczuka, wychyliwszy się z auta, przyzywał go naglącym ruchem. Jeden z milicjantów stał z automatem przy wozie.

— Idę! Idę! — krzyknął w ich stronę.

I począł wyjaśniać Kosseckiej:

— Śpieszymy się bardzo. Czekają na nas w cementowni w Białej, mamy tam przemawiać na zebraniu... Ale jedno tylko słowo, po to właśnie wysiadłem... to prawda, sędzia rzeczywiście wrócił?

Skinęła głową.

— Kiedy?

— Przedwczoraj.

Podgórski ucieszył się.

— I co, zdrowy? Jak się czuje, bardzo wyczerpany? W jakim jest nastroju?

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy znowu zatrąbił klakson. Podgórski spojrzał na zegarek. Dwadzieścia po piątej. Zebranie robotnicze w Białej wyznaczone było na piątą.

— Proszę mi wybaczyć, ale mój towarzysz słusznie się niecierpliwi... Już, już! — krzyknął w jego stronę.

I znów się zwrócił do Kosseckiej.

— Ja wpadnę do państwa jeszcze dzisiaj, pozwoli pani? Za dwie godziny najdalej, dobrze?

Podniósł rękę pani Alicji do ust i, całując ją, powiedział serdecznie:

— Tak się cieszę, że pan Kossecki żyje i wrócił...

Szczuka przyjął Podgórskiego bez słowa wyrzutu, tylko w milczeniu pokazał mu zegarek. Podgórski ruszył na pełnym gazie.

— Przepraszam was — powiedział po chwili — ale to była ważna dla mnie sprawa. Najdalej za kwadrans jesteśmy na miejscu.

Szczuka oparł swoje ciężkie dłonie o kolana i spod spuszczonych powiek uważnie patrzył na wślizgującą się pod Willysa drogę. Jechali na razie bocznymi ulicami Ostrowca, więc mimo złej, bardzo wyboistej jezdni, mogli rozwinąć znaczniejszą szybkość.

Po obu stronach wznoszącej się nieco ku górze ulicy ciągnęły się nieduże domki, piętrowe przeważnie, stare i ubogie, licznymi poznaczone śladami niedawnej wojny. Ściany prawie wszystkich kamieniczek poryte były obstrzałem artyleryjskim, tu i ówdzie rozsunięte i w nieładzie porozrzucane dachówki odsłaniały mroczne wnętrza strychów, liczne okna pozabijane były dyktą i deskami, inne, bez szyb i framug, martwo tkwiły wśród poszarpanych murów. W kilku miejscach bombami rozdarte ściany samotnie się wznosiły ponad szarymi gruzami. Pusto było w tej stronie miasta, cicho i bezludnie. Żadnych przechodniów. Tylko drobna i przygarbiona staruszka pchała przed sobą ogromne taczki od wapna wyładowane ziemniakami. Gdzieniegdzie czerniały poucinane gałęzie uschniętych akacji.

— Co to za kobieta, z którą rozmawialiście? — spytał Szczuka.

Podgórski skręcał w poprzeczną ulicę. Naprzeciw jechała ogromna, brezentem kryta ciężarówka.

— Kossecka — odpowiedział mijając ciężarówkę. — Żona sędziego.

— Z Ostrowca?

— Znaliście go może?

— Nie. Uważajcie...

Wjeżdżali akurat na rynek, w sam środek ścisku i gwaru. Pełno było dokoła ludzi: szary tłum cywilów pomieszanych z żołnierzami polskimi i rosyjskimi. Na rozległym placu, pomiędzy prowizorycznymi straganami i dokoła drewnianej, na biało-czerwony kolor pomalowanej trybuny, z której musiano niedawno przyjmować defiladę, tłoczyły się wojskowe wozy, ogromne sowieckie i amerykańskie ciężarówki, platformy z beczkami benzyny. Chociaż front jeszcze w styczniu przeszedł przez te strony i teraz dogorywał w ostatnich walkach o dobrych kilkaset kilometrów na zachód, całość do złudzenia przypominała nastrój miasta przyfrontowego.

W głębi rynku, na tle wiosennej niebieskości nieba, czerniały zarysy wypalonych kamienic. Nad jezdnią czerwieniały w kilku miejscach ogromne transparenty z hasłami ludowej Polski. Głośnik radiowy huczał ponad placem donośnym, męskim głosem.



Jerzy Andrzejewski

— Wczoraj 4 maja o godzinie 6-ej rano w kwaterze bojowej marszałka Montgomery'ego, zawarto układ o kapitulacji, który postanawia...

Podgórski musiał zwolnić i raz po raz naciskając klakson z trudem torował wozowi wśród tłoku drogę. Słowa speakera brzmiały w górze bardzo wyraźnie.

— Wszystkie wojska niemieckie w północno-zachodnich Niemczech, w Holandii, Danii, na Helgolandzie, wyspach Fryzyjskich i innych, łącznie z wszystkimi okrętami wojennymi znajdującymi się w tym rejonie, składają broń i bezwarunkowo kapitulują. Operacje wojenne zostają wstrzymane w sobotę o godzinie 8-ej rano...

Tłum zebrany pod głośnikiem słuchał w milczeniu. Na trotuarach też stały gromadki nieruchomych ludzi.

Speaker podniósł cokolwiek głos.

— Akt niniejszy stanowi przygotowanie ostatecznej i całkowitej kapitulacji Niemiec...

Podgórski spojrzał na swego towarzy-

— Jedźmy! — powiedział Szczuka.

Gdy mijali budynek Partii, na którym powiewała czerwona chorągiew, stojący przy wejściu wartownik, dostrzegłszy Podgórskiego, począł mu dawać znaki, żeby się zatrzymał.

— Jedźmy, jedźmy! — powtórzył Szczuka. — Nie ma czasu.

Podgórski wymownym ruchem dłoni dał wartownikowi do zrozumienia, że się bardzo śpieszą. Po chwili wyprowadził wóz z największego ścisku i skręcił w pierwszą przecznicę.

— Widzieliście twarze tych ludzi słuchających komunikatu?

Szczuka skinął głową.

— Bez cienia radości, zauważyliście?

— Czekali na nią za długo.

— Myślicie, że to tylko to?

— Nie tylko — odparł krótko Szczuka wpatrzony w drogę.

Podgórski poruszył się przy kierownicy.

— Wiem o czym myślicie. Też się często nad tym zastanawiam.

— Jest nad czym.

— Ale ostatecznie, czy już nie zwyciężyliśmy?

— Złudzenia! — mruknął Szczuka. — To początek dopiero walki. Nie ma się co łudzić.

Spojrzał na zegarek.

— Będziemy za dziesięć minut?

— Powinniśmy być — odpowiedział Podgórski. — Już niedaleko.

Znów przejeżdżali przez puste i zniszczone uliczki.

— I cóż ten Kossecki? — wrócił do poprzedniej rozmowy Szczuka. — Znacie go sprzed wojny?

— Tak. Dwa lata pracowałem przy nim w tutejszym sądzie. Do samej wojny. Wiele mu zawdzięczam. To chyba jeden z najporządniejszych ludzi, jakich znałem. Wrócił teraz z obozu.

— Oświęcim?

— Gross Rosen.

Szczuka okazał żywsze zainteresowanie.

— Był w Gross Rosen?

— Cztery lata.

Teraz sobie dopiero przypomniał, że Szczuka, który w ciągu ostatnich paru lat przeszedł przez kilka koncentracyjnych obozów, otarł się także i o Gross Rosen.

— Prawda, wyście tam też byli?

— Byłem. Ale nie do samego końca. Udało mi się uciec przy pierwszej ewakuacji. Jeszcze w lutym.

— Musieliście się więc zetknąć z Kosseckim, nie?

Szczuka zastanowił się.

— Chyba nie. Jak on wyglądał?

— Dość wysoki, barczysty, ciemny blondyn...

Szczuka szukał przez chwilę w pamięci.

— Nie przypominam sobie. Sędzia z Ostrowca?

— Zaraz, zaraz! — przerwał mu Podgórski. — Oczywiście, że go nie mogliście znać pod jego własnym nazwiskiem. Wzięto go pod przybranym.

— Chyba, że tak!

— Tylko pod jakim? Pamiętałem doskonale...

Ale nadaremnie usiłował sobie przypomnieć. Potrząsnął wreszcie głową.

— Uciekło mi w tej chwili...

— Skąd go wzięli, z Ostrowca?

— Z Warszawy. Stąd musiał uciekać jeszcze z końcem czterdziestego. Po pierwszej większej wsypie. Ja, jak wiecie, zostałem wtedy w terenie, a Kossecki przeniósł się do Warszawy.

— Tam wpadł?

— Głupi przypadek. Ale i tak miał jeszcze szczęście, że nie pod swoim nazwiskiem.

— Uważajcie! — mruknął Szczuka.

Podgórski roześmiał się.

— Nie ma obawy! Znam tę drogę jak własną kieszeń.

Z tej strony Ostrowca most na Śreniawie był zerwany i objazd prowadził na razie wyboistą, w ciasną gardziel wąwozu wciśniętą, wiejską miedzą. Trudno było o drogę podlejszą. Willys, chociaż przystosowany do pokonywania najcięższych wertepów, z trudem przedzierał się przez te wyboje.

W jednym miejscu wąwóz tak się zwężał, iż młodziutkie olszyny, pokrywające jego strome zbocza, wdzierały się do wnętrza wozu. Jedną z gałązek, najdalej wysuniętą i pełną drobnych, kleistych listeczków, odsunął Podgórski na bok ręką, kilka listków zatrzymując w dłoni.

— Popatrzcie, jaka wiosna! — pokazał Szczuce.

Droga gwałtownie skręcała i tuż za zakrętem, uwolniona nagle od ścian wąwozu, otwierała się na rozległy wśród bujnej łąki zjazd ku rzece, wprost na płaski i drewniany, prowizoryczny most. Nieopodal mostu czerniała gromada ludzi.

Szczuka pochylił się ku szybie.

— Cóż tam znowu?

Podgórski przedtem już, ledwie wyprowadził wóz spoza zakrętu, zauważył był zbiegowisko. Ludzi było sporo, około dwudziestu. Od razu spostrzegł wśród nich kilku umundurowanych milicjantów. Nieco z boku, pośrodku łąki, stało przechylone na bok auto, także amerykański Willys.

Tymczasem z dołu musiano ich zauważyć, bo dwaj milicjanci odłączyli się od tłumu i wybiegłszy na drogę poczęli dawać zjeżdżającemu wozowi rozkaz zatrzymania się. Jeden z siedzących z tyłu wozu milicjantów pochylił się ku Podgórskiemu.

— To nasi chłopcy, z Ostrowca.

— Widzę — odpowiedział.

Teraz już i inni ludzie, w których Podgórski rozpoznał robotników z Białej, biegli ku drodze. Ledwie wóz stanął, otoczono go ze wszystkich stron. Podgórski nie zdążył wysiąść, gdy przedarł się ku niemu jeden z robotników, towarzysz z partyzantki.

— Wiesz już?

Podgórski rozejrzał się po stojących dokoła. Wszyscy mieli twarze poważne i zasępione.

— Nie — powiedział wolno. — Co się stało?

— Dwóch naszych ludzi zamordowano — odezwał się stojący z tyłu siwy robotnik. — To się stało!

Podgórski pobladł.

— Kogo?

— Solarskiego i Gawlika.

Szczuka, z trudem wydźwignąwszy z auta swoje ogromne ciało, stanął przy Podgórskim. Podpierał się laską, kulał bowiem. Podgórski spojrzał na niego.

— Słyszeliście?

Tamten skinął głową.

— Nie w wesołej chwili przyjechaliście do nas, towarzyszu — odezwał się ktoś z boku.

— Kiedy to się stało? — spytał Szczuka.

Jeden z milicjantów przysunął się bliżej.

— Przed niecałą godziną. Ludzie przy budowie mostu posłyszeli w tej stronie strzały. Przybiegli zaraz, ale już było za późno.

— Sprawców schwytano?

— Na razie nie.

Szczuka machnął ręką.

— To już ich nieprędko znajdziecie. Gdzie to się stało, tutaj?

— W wąwozie. Tamci musieli się zaczaić. Parę serii starczyło. Wóz sam się na dół stoczył i wywrócił..

— Sędzia śledczy przyjechał?

— Czekamy właśnie. Daliśmy już znać.

Przez chwilę panowała cisza. Szczuka, ciężko wsparty na lasce, patrzył w ziemię. Wysoko w górze, wśród czystego powietrza, głośno ćwierkały skowronki.

— No cóż? — przerwał milczenie Szczuka. — Pójdziemy ich zobaczyć?

Poszedł pierwszy kulejąc, za nim Podgórski. Tłum się rozstąpił i gromadą ruszył za nimi. Rozbity Willys stał o kilkadziesiąt kroków dalej. Łąka była bujna i soczysta, trawa sięgała do kolan prawie.

— Piękna trawa! — mruknął Szczuka.

Zabici leżeli nieopodal wozu, obok siebie, równo i na wznak. Nienaturalnie sztywni wśród gęstej trawy i szklistymi oczami wpatrzeni w dalekie ponad nimi niebo, wydawali się w swoich robotniczych, krwią poplamionych ubraniach raczej do kukieł podobni niż do ludzi, którymi byli przed godziną zaledwie. Podgórski znał dobrze obu, lecz sylwetki żyjących, które wywołał teraz pamięcią, nie miały nic wspólnego z leżącymi. Biały motyl, zwykły wiosenny kapustnik, fruwał ponad ich nieruchomymi twarzami.

Szczuka przez dłuższą chwilę przyglądał się spod opuszczonych powiek zabitym. Wreszcie, mocniej się wsparłszy o laskę, wyciągnął rękę i palcem wskazał na leżącego bliżej.

— Ten?

Podgórski przełknął ślinę, aby zwilżyć suchość krtani.

— To Smolarski. Członek Rady Zakładowej. Stary towarzysz. Zasłużony robotnik. Stracił dwóch synów, jednego w trzydziestym dziewiątym, a drugi tutaj rozstrzelany w czterdziestym czwartym...

Mówił wyraźnie, lecz półgłosem, jak zwykło się mówić w pokoju, w którym leży zmarły. Szczuka słuchał w milczeniu.

— A ten?

— Gawlik. Młody chłopak, nie miał więcej niż dwadzieścia kilka lat...

— Dwadzieścia jeden — powiedział ktoś z tłumu.

Podgórski wpatrzył się w nieruchomą twarz zabitego.

— Przed kilku tygodniami wrócił z robót w Niemczech.

Szczuka przysunął się o krok bliżej i oburącz wsparty o laskę pochylił się ciężko nad leżącymi, uważnie śledząc spod opuszczonych powiek pląsający lot motyla. Po chwili wyprostował się.

— Zdaje mi się, że to my dwaj mieliśmy tu leżeć zamiast nich — powiedział do Podgórskiego półgłosem.

Ten drgnął.

— Myślicie?

— Jestem pewien.

Nagły ból palców wbitych paznokciami w dłonie teraz dopiero Podgórskiemu uświadomił, iż od chwili, kiedy wysiadł z auta, miał przez cały czas mocno zaciśnięte pięści. Wyprostował palce i wtedy z prawej dłoni wypadło mu kilka zwiędłych i wymiętych listków olszynowych. W pierwszym, machinalnym zupełnie odruchu, jakby uczynił gubiąc przedmiot użyteczny, chciał się schylić i liście podnieść. W porę się jedna zatrzymał. Poczuł, że ma dłonie bardzo spocone. Wytarł je o spodnie.

Szczuka odwrócił się od leżących.

— Chodźmy! — mruknął szorstko.

Kilku z tłumu podążyło za nimi w pewnej odległości. Wszyscy szli w milczeniu. Słychać było szelest świeżej, butami gniecionej trawy.

— I co powiecie? — zagadnął Szczuka zamyślonego Podgórskiego.

— Ja? — ocknął się tamten. — Myślę o tym, co powiedzieliście. Gdybyśmy się nie spóźnili...

— To byśmy leżeli teraz tam, na łące, tak? A tamci by żyli... To nieważne.

Nim zdążył skontrolować swoje wątpliwości, spytał:

— A co jest ważne?

Szczuka po swojemu kusztykając szedł dalej, jakby pytania nie dosłyszał, lub nie chciał odpowiedzieć. Wtem zatrzymał się. Ludzie, którzy za nimi szli, także przystanęli.

— Co jest ważne? — powtórzył. — Robić swoje.

Podszedł do nich akurat jeden z robotników, niski i drobny, o szarej twarzy poznaczonej śladami ospy.

— Przepraszam, towarzyszu...

Szczuka obrócił się do niego.

— Wy się wyznajecie w tym wszystkim. Siedzicie w polityce, to wasza sprawa na tym się znać... Chciałem was spytać... zresztą my wszyscy — wskazał ręką na swoich towarzyszy, którzy podeszli bliżej i stanęli dokoła ciasnym półkolem — chcielibyśmy, żebyście nam powiedzieli, jak to długo będzie trwać?

Szczuka podniósł zmęczone powieki i przekrwionymi oczami rozejrzał się po otaczających go ludziach. Spojrzenia wszystkich, wyczekujące i skupione, wpatrzone były w niego. Chwilę się namyślał. Wreszcie nieznacznym skinieniem głowy wskazał na leżących nieopodal.

— O tamtych wam chodzi.

— Właśnie o tamtych — przytaknął robotnik. — Jak długo tacy ludzie będą musieli ginąć? To nie pierwsi.

— I nie ostatni — odparł Szczuka. — Przestrasza was to?

Robociarz wzruszył ramionami.

— Mnie? Każdy chce żyć. Ale nie jestem znów taki strachliwy...

— Więc?

Tamten nic zrazu nie odpowiedział, tylko przez dłuższą chwilę patrzył na górującego nad nim wzrostem Szczukę, jakby w wyrazie jego twarzy odnaleźć chciał głębszy sens tego, co zostało powiedziane. Nagle wyciągnął rękę.

— Rozumiem was. Macie rację, towarzyszu.

Szczuka mocno uścisnął podaną dłoń.

— Nie jest to, niestety, racja wesoła. Ani łatwa.

— To my wiemy.

I patrząc Szczuce w oczy, powiedział z prostą powagą:

— Niech was Bóg ma w swojej opiece, towarzyszu.

Szczuka już otworzył usta, jakby chciał odpowiedzieć, lecz w tym samym momencie zawahał się i usta zamknął.

— Dziękuję wam — rzekł po chwili. — I was niech Bóg ma w opiece.

Czekając na przyjazd sędziego i prokuratora, zeszli z Podgórskim ku rzece. Płynęła nie szerokim wprawdzie, lecz głębokim nurtem, na równi prawie z płaskimi brzegami. Spłoszone żaby poczęły gromadnie wyskakiwać z trawy i w ciszy, jaka była, raz po raz klaskał krótki plusk wody.

Szczuka przystanął nad brzegiem, przymknął oczy i ciężkim ruchem przesunął po czole ogromną dłoń. Podgórski zauważył to.

— Zmęczeni jesteście?

Zaprzeczył z przyzwyczajenia i natychmiast podniósł powieki.

— Czy nie sądzicie, że jeśli się już zdecydowałem tego człowieka polecić boskiej opiece, to powinienem był jeszcze dodać: miej, Boże, litość nad mordercami?

Podgórski spojrzał niepewnie na Szczukę, nie bardzo się orientując, czy ten poważnie mówi, czy żartuje. Ale tamten nie czekał na jego odpowiedź.

— Nigdy nie myśleliście o tym, że ludzie, którzy się obywają bez Boga, nie mają właściwie prawa do litości nad zbrodniarzami? Bo na jakiej zasadzie mogliby podobne prawo oprzeć? Nie widzę takiej. A jednak, chociaż tyle słusznych racji znajduję do potępienia i niszczenia zła, nie umiem w sobie samym zniszczyć litości dla popełniających zło. Tłumię to uczucie, bo cóż właściwie mam z nim zrobić, gdzie go mam umieścić? Ale ono jest we mnie. Śmieszne, prawda? Myśleliście kiedy o tym?

— Nie — odparł twardo Podgórski.

— Nigdy?

— Nigdy. Nie umiem i nie chcę się litować nad ludźmi, których nienawidzę. Pogardzam nimi, to wszystko.

Szczuka oparł się obu rękoma o laskę i pochylił nad wodą.

— Ach, tak! Nienawiść, pogarda... wiem, wiem, to też. Ale to nie wszystko.

— Dla mnie wszystko.

Akurat ogromna ryba zwróciła jego uwagę. Musiał to być stary, bardzo rozrośnięty szczupak, albo karp. Wychynął raptownie na środek rzeki, zamigotał srebrną łuską i z pluskiem zapadł się z powrotem. Szerokie i ruchliwe kręgi rozchodzić się poczęły po powierzchni wody.

— Ależ olbrzym! — mruknął Podgórski z uznaniem.

I niespodziewanie strzelił palcami.

— Mam! — ucieszył się. — Przypomniałem sobie, wiecie, pod jakim nazwiskiem Kossecki został aresztowany. Rybicki... A tak mnie to męczyło przez cały czas.

Szczuka, pogrążony we własnych myślach, nie zorientował się w pierwszej chwili o kogo chodzi.

— Kossecki, Kossecki? — powtórzył z roztargnieniem. — Aha! Skąd wam to przyszło?

Podgórski roześmiał się.

— Ryba mi przypomniała.

Szczuka też się uśmiechnął.

— To rzeczywiście dość proste.

Nagle, żywym jak na siebie ruchem, obrócił się do Podgórskiego.

— Zaraz... Jakie powiedzieliście nazwisko?

— Rybicki.

— A imię?

Podgórski zastanowił się.

— Ludwik? Leopold? Nie, inaczej jakoś...

— Leon?

— Leon! Tak mi się zdawało, że na „l". Znaliście go zatem?

Szczuka z powrotem obrócił się do rzeki.

— Osobiście nie — powiedział po dłuższej chwili. — Musiał być na innym bloku. Nazwisko tylko obiło mi się o uszy.

Druga ryba, mniejsza tym razem od poprzedniej, lecz także duży okaz, wypluснęła na powierzchnię. Szczuka podniósł laskę.

— Piękne ryby macie w Śreniawie. Jak u was wygląda eksport rybny? Istnieje coś takiego?

(Ciąg dalszy nastąpi)

Jerzy Andrzejewski

ALEKSANDER MAJAKOWSKI

przełożył **ARTUR SANDAUER**

DOBRZE

Nie wiem, kto tu był rybakiem, kto wędką, a kto połowem. Dość, że pewnego dnia na brzeg mojej świadomości wyrzucony został ten oto fragment poematu „Dobrze". Przekładu Majakowskiego dokonałem z pamięci — pisałem już o tym gdzie indziej — podczas okupacji; spisałem go dopiero po wyzwoleniu. Lecz zarówno przy tej pierwszej rekonstrukcji, jak i później, gdym przygotowywał książkę do druku, zapomniałem o istnieniu we mnie fragmentu 15. I oto niedawno, z niewiadomej przyczyny, urywki wierszy zaczęły na nowo pukać do drzwi mojej pamięci. Wpuściłem je: oto one.

Artur Saudauer

Pod uchem samym
klatki,
a schodów
ze
dwieście.
Niosą
minutki-kołatki
po klatce schodowej
wieści.
Przyszły dni,
tupały:
— W czas taki
żyć nam?
Zbrakło opału
brzuchom fabrycznym.
Niebiosa
w dymnych loków motywach.
Po czub komina,
po nos sam
lokomotywę
śniegiem zaniosło.
Owinąwszy walonki
w kolorowe szmaty,
znowu
z żelaznej bramy
szli pod rząd
i każdy łopatę
miał
zarzuconą na ramię.
Przyszli
pod las.
Każdy
podlazł.
Chłop
przy chłopie
ryje,
kopie.
I znowu
sunie kolej
przez ośnieżone pole.
Słabną siły
z niedojadań.
Uchwycili
dłonią
za dłoń.
A teraz marsz!
I wzięło na mary
pięciu zamarzłych.
Dzisiaj
na brudnych schodach,
w ciemnicy,
burżuje stroszyli
uszy-piki.
Pod sam,
pod tulski skład amunicji,
pod serce samo im
podchodzi Dienikin.
Burzą się burżuje.
W pyle drukują
poszeptogłosę
chóry kucharek.
— Będzie pszeniczna!
Biała, prześliczna!
Dostawy kawy!
Cukry!
Suchary!
Cze-e-e-e-kaj
bialutkich!
Trzy-y-y-maj
walutkę!

Lecz
gród się ocknął
w plakaty strojny.
To partia wzywała:
Do broni!
I
mkną
na południe
czerwone szwadrony
za Mamontowem w pogoni.
Dziś dzień
przybiegł
bez tchu,
krzykiem
ciszę rwąc,
chrypiąc
raz w raz
z przestrzelonych płuc,
upadł
i zalał się krwią.
Krew
na podłogę
kapała ze stopni,
stygła
z pyłem porówni.
I znów
na podłogę
kapały krople
od kuli
Kapłanówny.
Szakale
wyją.
Pisk
szedł
hien.
Salopka
do szynszyli,
szynszyle
do salopy:
— Już
się nasi ruszyli.
Wnet
ich wykropią!
I znów
bałuszyli
oczy kuliste
na długi
nazwisk i imion ciąg.
Wicher
zdziera
skazańców listy,
rwie,
miętosi
i puszcza w krąg.
Klasa
chwyciła drapieżcę
w łapy,
w łapy
Cze-ka
stalowe.
— Zamrzyjcie, wrogi!
Odejdź,
kto słaby!
Mieszczuchy!
Baczność!
Ni słowa!
Budził się gniew
w milionowej klasie.
Do boju wstań!
Za Iljicza!

I w Lenina
krzepiąc
lała się
tej woli
siła lecznicza.
Kryli się mieszczanie
za kuchnie,
za sprzęty.
Nas — nie ruszajcie!
My —
kurczęta!
My
tylko muszki!
Nam by — okruszki!
Zakończcie,
czas już,
krwawy sąd!
Myśmy mieszczanie!
Wikt i pomieszkanie,
a my
już rzędem
za wasz rządi
A rano
w cztery niebiosów końce
dnia wczorajszego
niepomne krzywd,
alarmowały
ptaki i słońce:
Żyw!
Żyw!
Żyw!
Żyw!
I znowu
dni
na wyprzedki czeredą
zbiegały się
i prosiły:
— Chodźcie!
Przed nami
jeszcze ten jeden
wysiłek!
Od szturmu
do pracy,
od pracy
na szturm,
w głodzie,
w chłodzie
i w walce
w to, co wzięli,
tak wrośli pazurem,
że krwią
ociekały palce.
Widziałem kraje,
gdzie różne balsamy
u moich ust
rozkwitały same.
Takie
traktujesz inaczej!
Lecz ziemię,
którąś wywalczył pięściami
i na pół-żywą
wyniańczył,
gdzieś z kulą wstawał,
z bagnetem się kładłeś
gdzie
krwi wytoczyłeś kubeł,
z taką ziemią
pójdziesz na radość,
na życie
na trud
i na zgubę.

Aleksander Majakowski

przełożył Artur Sandauer

NOWE DZIEŁO ZOFII NAŁKOWSKIEJ

Normalny układ recenzji nakazuje najpierw dokonać analizy utworu, później sformułować sąd. Albo też wyraźne sformułowanie sądu pozostawić czytelnikowi, czy też rozprószyć pomiędzy wierszami, umieścić w samym gatunku postulatów stawianych pisarzowi lub miar przykładanych do jego dzieła. Skromny w rozmiarach tom Zofii Nałkowskiej *) jest jednak tak uderzającym zjawiskiem literackim, że zmusza krytyka, by najpierw wyzwolił się od sądu: cóż to za wspaniała książka! Tych kilkadziesiąt stron oszczędnej prozy, tak ściśliwej i zwartej, jakby wydobytej spod prasy wszystkich ciśnień obozowej grozy, to na pewno najbardziej wartościowy artystycznie i przejmujący moralnie dokument, przeciwstawiony tej grozie przez nasze piśmiennictwo powojenne.

Tę wartość nadaje „Medalionom" przede wszystkim najwyższej próby takt pisarski. Nic bardziej kuszącego, ale też nic bardziej niebezpiecznego jak temat okrucieństwa i obozów. Czy umiemy odróżnić, nawet u najlepszych, pokąd sięga ich kunszt pisarski, a gdzie się rozpoczyna żywe, nieprzetrawione mięso tematu? Nawet u tych, którym zgoda powszechna przyznaje prawo do grozy widzianej od wewnątrz — Andrzejewski, Borowski, Putrament, Żukrowski — czy umiemy rozpoznać?

Nałkowska nie dała się wciągnąć w lej owego tematu. Staje na jego brzegach, obchodzi zwolna i dociekliwie poszarpaną linię spustoszenia uczynionego przez okupację w sercach ludzkich, a jeśli nawet pochyla się nad głębią, to z twarzą czystą od czadu tych okrutnych lat. W tym takcie i dyskrecji jest jej wielkie zwycięstwo artystyczne. Po „Medalionach" proszę przeczytać którekolwiek z opowiadań Zalewskiego czy Bratnego, zrozumiecie, co znaczą słowa o twarzy wolnej od czadu. Tego czadu, o którym tak słusznie przed kilkoma miesiącami pisał w „Życiu Literackim" Truchanowski.

„Jeżeli objąć myślą ogrom przyśpieszonej śmierci, jakiej miejscem — niezależnie od działań wojennych — stały się tereny Polski, to obok grozy najsilniejszym uczuciem, jakiego doświadczamy, jest zdziwienie" — czytamy gdzieś pod koniec tomu. Takie zdziwienie udało się Nałkowskiej przechować przez wszystkie stronice jej zbioru. Jest to zdziwienie człowieka, który nade wszystko nie może pojąć rozmiarów minionego szaleństwa i tym właśnie wyraża protest absolutny, że z szaleństwem nie wchodzi w żaden kontakt, nawet w kontakt dokładniejszego opisu, wyjaśnienia, szukania powodów. Bo ilekroć mówimy o pewnym zjawisku, że nie mieści się w jakiejkolwiek wyobraźni i pojęciu, odbieramy mu poniekąd prawo istnienia. Pojemność historii jest ostatecznie tylko pojemnością czynów mogących się pomieścić w wyobraźni człowieka i aktów moralnych, na które możemy wyrazić naszą zgodę.

Zbiór Nałkowskiej napisany został ze stanowiska powojennego. Zbudowany został z relacji, opowiadań, opisów tych resztek obozów śmierci, jakie dają się jeszcze ujrzeć po ich zniszczeniu. Tę dyscyplinę zachowała autorka w sposób najbardziej surowy. „Medalionów" jest w tym zbiorze dziewięć; tylko dwa z nich — „Kobieta cmentarna" i „Przy torze kolejowym" — nie dotyczą prawdy o obozach koncentracyjnych. Wszystkie pozostałe krążą wokół tego tematu. Nie wszystkie pozostawiają wstrząs moralny o równej trwałości. „Profesor Spanner", „Dwojra Zielona", „Człowiek jest mocny" i „Dno" pozostawiają najtrwalszy.

W istocie jednak „Medaliony" są książką człowieka przedwojennego. Takiego człowieka, jakim był każdy z nas, zanim rozpętało się szaleństwo. Jest to książka człowieka, który nie ma jeszcze zmysłu ochronnego dla spraw grozy. Sądzę, że w tym się mieści wyjaśnienie jej zupełnie wyjątkowego charakteru na tle twórczości młodszych pisarzy. Bo ci przedwojennymi przestali być zupełnie.

Przedwojennego charakteru „Medalionów" nie uważam za jakąkolwiek skazę. Przeciwnie. Jeżeli doświadczenie drugiej wojny ma się stać lekarstwem, w pewnej mierze musimy znów się stać ludźmi przedwojennymi. Nie, by zapomnieć. Ludźmi przedwojennymi w tej mierze, jaką przypomina Roger Vercors w drukowanym w „Twórczości" „Odczycie dla Amerykanów": „Nie będziemy pewni zniszczenia owej larwy śmiertelnej, aż do dnia, kiedy poczujemy znowu w naszym sercu odżycie wielkiego płomienia oburzenia — płomienia szlachetnego i czystego, tego dawnego gniewu, na którego powstanie wystarczała niesprawiedliwa śmierć jednego człowieka."



Zofia Nałkowska

Cykl Nałkowskiej jest bodaj jedynym dotąd utworem, który właśnie swoim zdumieniem i milczeniem, powściągliwością i umiarem przyczynia się do odrodzenia takiego gniewu. Tego gniewu, o którym pisał Norwid w „Fulminancie", że „gołębia kształt ma, żądło ma mistyczne". Któż bowiem zaręczy, czy nie w tym właśnie zawiera się mądrość i lekarstwo, by zło obchodzić po jego granicach? By nie dać mu się wciągnąć nawet dla potępień? Takt Nałkowskiej okazuje się bardziej przenikliwy od młodej łapczywości.

W „Kobiecie cmentarnej" czytamy takie zdania: „Rzeczywistość jest do wytrzymania, gdyż nie cała dana jest w doświadczeniu. Albo dana niejednocześnie. Dociera do nas w ułamkach zdarzeń, w strzępach relacji, w echach wystrzałów, w dalekich dymach rozpływających się po niebie, w pożarach, o których historia mówi, że „obracają w perzynę", chociaż nikt nie rozumie tych słów. Ta rzeczywistość daleka i zarazem rozgrywająca się o ścianę nie jest prawdziwa. Dopiero myśl o niej usiłuje pozbierać ją, unieruchomić i zrozumieć".

W tych, powtórzonych również pod koniec szkicu zdaniach, doskonale, choć zapewne mimo woli, ujawniła Nałkowska proces pisarskiego konstruowania rzeczywistości w „Medalionach". Jest ona zbudowana dosłownie z ułamków zdarzeń, ze strzępów relacji, z ech wystrzałów w pamięci ludzkiej i z zanikłych już dymów krematoryjnych. Przede wszystkim ze strzępów relacji. Autorka nigdzie nie wykracza poza to, co jest jej dane w słowach najprostszych ludzi, świadków najbardziej wymyślnych okrucieństw. Świadków przez to właśnie pełnych zdumionej niewiedzy, że prostych, którym ani prawa historii, ani metafizyka nie objaśniają niczego z przeżytych potworności, bo nie mieszczą się w ich rozpoznaniu świata. Mordowali Niemcy ludzi? — opowiada Dwojra Zielona — „oni się bawili w Sylwestra".

Nigdzie też Nałkowska nie wykracza poza to, co sama ujrzeć mogła. Dzięki temu zdobywa momenty niezwykłej prawdy artystycznej, jak chociażby zamknięcie medalionu „Człowiek jest mocny": „Ktoś pokazywał znaleziony strzęp pudełka od zapałek z greckim nadrukiem, inny wymyte przez deszcze papierki z firmami aptek. Ktoś na miejscu dawnego krematorium znalazł dwie malutkie kosteczki ludzkie". Kończąc opowieść na tym słowie, pisarka zdaje się mówić: tyle pozostałoby z niezliczonych jeszcze istnień ludzkich, gdyby oprawcy zwyciężyli. Jej elipsy i przemilczenia służą bowiem temu, by wnikało w nie doświadczenie każdego czytelnika. Ta książka jest czujna, bo pobudza do współpracy.

Tak postępując osiąga Nałkowska wrażenie powszechności przedstawionych przez siebie wydarzeń. Wynik, jakiego nikomu z piszących o okupacji nie udało się osiągnąć w sposób tak prosty a mistrzowski. Chodzi o to, że każde — z wyjątkiem Borowskiego — przedstawienie ostatecznych stopni grozy sprowadzić się musiało do wyboru jednej, dwóch postaci, do wejścia w ich osobowość przy pomocy narzędzi normalnej analizy psychologicznej. Los obozowy był losem milionów, obrazowany zaś bywa na losie jednostek, nieraz zbyt wyodrębnionych, zbyt egotycznych nawet w doznaniu cierpienia, by stawały się typowe dla cierpień masowych. Tymczasem cierpienia owe były najczęściej udziałem ludzi nie umiejących nawet mówić o zaznanym okrucieństwie. Ludzi, których ciało pokaleczone mówi więcej niż język. Dopiero z trudem wydobywana opowieść Dwojry Zielonej, czy Michała P., dopiero szorstki tok i błędy gramatyczne gdańskiego więźnia, zeznającego o fabryce mydła profesora Spannera, nieumiejętnością swoją przystają nagle do masowego istnienia tej grozy. Oto udziałem takich ludzi była ona. Oto sprawcy i ofiary. Ich językiem opowiedziana groza przemawia tonem prawdy tak przejmującej i nieogładzonej, jak podsłuchany szept spowiedzi.

Na pierwszej karcie „Medalionów" położyła Zofia Nałkowska słowa: „ludzie ludziom zgotowali ten los". Odbudowie zdumienia, że ludzie ludziom w ogóle mogli zgotować podobny los, służy jej głęboko ludzka i mądra książka.

Kazimierz Wyka

Trzeba od razu jasno powiedzieć, że „Medaliony" Zofii Nałkowskiej to jedno z najznakomitszych zjawisk w powojennej polskiej prozie artystycznej. Sąd taki może się wydać nieco ryzykowny. 8 krótkich opowiadań dokumentarnych, zebranych w tym tomiku, to jeszcze raz warianty powtarzanego już wielokrotnie tematu „nocy" okupacyjnej. Coś pośredniego między reportażem, prywatnym wywiadem i autentycznym dokumentem. A jednak świat „Medalionów" przy możliwej dokładności rzeczywistych konturów i surowości dokumentu — jest zarazem światem o takiej głębi perspektywicznej, jaką mieć mogą tylko dzieła prawdziwej sztuki, najbardziej w swoich środkach wyrafinowane. Bez efektów kunsztownej stylizacji odbywa się tutaj proces przechodzenia literatury faktu w literaturę istotnego wzruszenia artystycznego. Dowodzi to jasno zawodności podziałów, o ile pewnym gatunkom, np. reportażowi, odmawiają one z góry poetyckiej konsekracji. Magia sztuki może działać wszędzie, iluzjoniście wystarczy kilka nagich sprzętów, drewniany stolik, proste krzesła, aby wywołać duchy naszych wewnętrznych niepokojów.

Technika Nałkowskiej jest przy swojej przejrzystości bardzo misterna. Jednopłaszczyznowy świat okrucieństw i barbarzyństwa niemieckiego (fabryka mydła z tłuszczu ludzkiego, dno kobiecego obozu w Ravensbrück czy gdzie indziej, likwidacja ghetta warszawskiego itp.) — przy dokładniejszej analizie okazuje się kilkuwarstwową kondygnacją, która, przecinając się wielokrotnie, tworzy wypukłą i doskonale bryłowatą, trójwymiarową całość. Gdyż w tej całości mamy niejako trzy warstwy, trzy wymiary, trzy rzeczywistości. Jedna warstwa, to bezpośrednio w pierwszej osobie podawane relacje uczestników koszmarnych wydarzeń, odbierane czy to w formie zeznań (laborant w ponurym Instytucie Anatomicznym profesora Spannera), czy przypadkowych rozmów („Kobieta cmentarna"), czy wreszcie prywatnych wywiadów („Dwojra Zielona"). Jest to pierwsza, podstawowa rzeczywistość, rzeczywistość widziana na pół ślepymi oczyma tych prostych ludzi różnej narodowości i płci, ale tego samego pochodzenia klasowego: dzieci ludu. Stąd język i styl ich relacyj brzmi podobnie. Wszyscy oni ujawniają tylko najdostępniejsze im fragmenty przeżyć, wszyscy, pełni spokoju i rzeczowości, odsłaniają z namysłem ten okruch rzeczywistości, jaki jest im dostępny, a którego związku z całością nie ogarniają i nie usiłują ogarnąć. Ten okrutny okruch rzeczywistości, który obecnie powoli odwalają jak ciężki głaz rzucony na ich przeszłość — nie jest dla nich ani zdumiewający, ani straszny, po prostu — jest. Oto jak Dwojra Zielona opowiada o utracie oka: „Oko straciłam pierwszego stycznia 43 roku. Była taka zabawa u Niemców. Oni się bawili w Sylwestra. Zastrzelili sześćdziesiąt pięć ludzi. Z mojego domu to ja jedna zostałam, że jeszcze żyję. Strzelali na ulicy, na śniegu, o szóstej rano. Wchodzili do mieszkań. To ja chciałam uciekać, wyskoczyłam przez okno. Myślałam, że się zabiłam. I dostałam strzał w oko." Albo owa starsza siwa pani opowiadająca o swych towarzyszkach obozowych, zamykanych za najmniejsze przewinienie do bunkra, bez jedzenia: „Jednak coś jadły... Raz jedna ruszała ustami. I jedna miała zakrwawione paznokcie. Proszę pani, to było strasznie karane! Ale one tam w nocy jadły mięso z tych trupów"! („Dno").

Ta pierwsza rzeczywistość, ten wymiar zogromniały w potwornym zbliżeniu — jest doskonale dokładna, ale zarazem beznamiętna, obojętna. Jest to tylko okruch, w swoim braku związków przyczynowych uwolniony od tragicznej całości, a więc — możliwy do zniesienia. Jak powiada Nałkowska — „rzeczywistość jest do wytrzymania, gdyż nie cała dana jest w doświadczeniu. Albo dana niejednocześnie. Dociera do nas w ułamkach zdarzeń, w strzępach relacji, w echach wystrzałów, w dalekich dymach rozpływających się po niebie, w pożarach, o których historia mówi, że „obracają w perzynę", chociaż nikt nie rozumie tych słów. Ta rzeczywistość daleka i zarazem rozgrywająca się o ścianę nie jest prawdziwa. Dopiero myśl o niej usiłuje pozbierać ją, unieruchomić i zrozumieć".

W taki właśnie sposób przechodzi Nałkowska do drugiej rzeczywistości, zbiera ją, unieruchamia i rozumie. Pomiędzy warstwy opowiadań, włożonych w usta zeznających, wdziera się inna warstwa, odautorski komentarz: wymiar obiektywnej rzeczywistości. Jest on bodaj że jeszcze bardziej skąpy w formułowaniu, bez jednego zbędnego słowa, które by wykraczało poza funkcje rozważnego porządkowania, tym razem widzianego od zewnątrz. „Zawahała się, zamyśliła. Znów tu coś trudne było do powiedzenia"... „Namyślała się, jakby coś jeszcze chciała dodać. Ale nie mogła. Otrząsnęła się" („Dno"). „Zastanowiła się dłużej nad tym szczególnym zjawiskiem. Popatrzyła jak gdyby wewnątrz siebie i westchnęła" („Wiza"). „Zamilkł na chwilę, coś w sobie ważył. Jego wielkie, kościste ciało ugięło się od wewnętrznego zmęczenia. Po namyśle powiedział tak:..." („Człowiek jest mocny"). Opisy, przy których pomocy Nałkowska konkretyzuje tło i urealnia obraz przedstawianego świata, są ciosane z najprostszego materiału, z najbardziej istotnych elementów: „Wyjmuje klucz i otwiera wetkniętą w skoble, olbrzymią kłódkę. Drzwi otwierają się na rozległe, puste mieszkanie. Jeden pusty, ponury pokój, z umytą podłogą, drugi też wysprzątany, z niskim pod ścianą legowiskiem. W trzecim stół pod ścianą, jedno i drugie krzesło" („Dwojra Zielona"). „Uśmiecha się ładnie. Pokazuje przy tym dużo białych, młodych zębów. Jej oczy brunatne świecą się silnie, policzki są ciemne i rumiane. Jest młoda, ale bardzo zeszpecona tymi za krótkimi włosami zjeżonymi jak szczotka, tą czapką kuchcika i dużymi okularami na nosie" („Wiza"). Pisarz znika, zostaje tylko nagi świat, jak suchy szkielet, z którego opadła różowa dekoracja.

Ten upiorny spokój zewnętrznej rzeczywistości w połączeniu z wewnętrznym światem przesłuchiwanych, zawierającym tylko zastygłe szczątki zobojętniałych już przeżyć, stwarza przejście do trzeciej rzeczywistości. Namiętność, oskarżenie, trzymane na uwięzi artystycznego umiaru — są jak dynamit, zamagazynowany w warstwach podziemnych, który wybucha, kiedy przyłożyć doń lont myśli. Trzecia rzeczywistość Nałkowskiej nie leży na powierzchni. Mieści się poza tekstem. Jest to rzeczywistość myśli, która zbiera odłamki zaobserwowanych scen i przeżyć, unieruchamia je w rzeźbionym kształcie medalionów, po czym naucza rozumieć i potępiać. Ten trzeci wymiar, który wyrasta z dwóch poprzednich, cząstkowych, jest już wymiarem całości. Ogarnia całość wojennej rzeczywistości szerzej, niżby to zdołał uczynić najbardziej skrupulatny i dokładny (ale tylko skrupulatny i dokładny) — reportaż. Przemawia — milczeniem. Milczenie ma wartość tam, gdzie najmocniejsze nawet słowo — będzie za słabe.

Trójwymiarowa rzeczywistość Nałkowskiej ma tak doskonałą plastykę wyrazu, jaką rzadko można spotkać w prozie polskiej. Poszczególne postaci omawianych szkiców to pełnia psychologicznej prawdy i socjo-

*) Zofia Nałkowska. Medaliony. (Kraków). „Czytelnik", 1946; str. 87 i 3 nl.

logicznego ugruntowania, osiągnięta jednym słowem czy półsłowem. Sceny z obozów, z ghett czy innych etapów niszczenia, przecinające się pod tym trojakim kątem widzenia — ukazują się istotnie jak ryte w kamieniu medaliony. W dążeniu do osiągnięcia tej rzemieślniczej, kamiennej beznamiętności rysunku nie cofa się Nałkowska nawet przed takimi środkami jak pełne zachwytu czy zadowolenia estetycznego określenia, gdy pisze o najbardziej wstrząsających zbrodniach. Ciała znalezione w gdańskim Instytucie Anatomicznym „białokremowe, młode, podobne do twardych rzeźb, były *w doskonałym* stanie". Głowy tamże zesypane w kadzie były „*świetnie* zakonserwowane, równiutko od karku odcięte, jak z kamienia". Niemiecki aeroplan, który obrzuca walczące ghetto seriami bomb, zakreśla nad tym miastem śmierci „*łagodny* półokrąg". Michał P. — o tym jak zaprowadził do gazu ojca, matkę, siostrę i jej pięcioro dzieci, brata z żoną i trojgiem dzieci — opowiada „*uroczyście*, jakby recytował *tekst święty*". Owa — w ten sposób uchwycona — *doskonałość zbrodni*, kontrast między odświętną oprawą zewnętrznych form a ohydą treści (jedna z najbardziej zasadniczych i przerażających cech niemieckiego systemu przestępczego: precyzyjna doskonałość mechanizmu) — uwypukla jeszcze dokładniej obraz całości.

Niewielka w rozmiarach książeczka Zofii Nałkowskiej może służyć adeptom literatury jako podręcznik czystości i jasności stylu, jako przykład oszczędnego i mądrego organizowania najbardziej nawet rozległych i najszlachetniejszych wzruszeń.

Henryk Vogler

KAZIMIERZ WYKA

SPRAWA WARSZAWY

I

Druga wojna światowa rozpętała pasję burzenia miast. Mimo to wśród losów miast sprawa Warszawy jest na pewno jedyną sprawą owej wojny. By znaleźć dla niej analogię, sięgać trzeba w głębokie mroki historii, kiedy zdobyte miasta puszczano z dymem, a mieszkańców wycinano w pień. „Ponieważ żołnierstwo już się znużyło ustawicznym mordowaniem, a wciąż jeszcze dużo pojawiło się ludu, Cezar kazał zabijać tylko uzbrojonych i opór stawiających, resztę zaś brać żywcem" — pisze Flawiusz o rzezi zdobytej przez Tytusa Jerozolimy.

Ale sprawa Warszawy rozegrała się wśród okoliczności historycznych, które dają się oznaczyć i nazwać. Przeciągały przez nią armie na te same, co przed wiekami, wojenne szlaki wschodniej Europy. Nad całym kontynentem europejskim rozbrzmiewał rozkaz bojowy wygłaszany tym samym, co przed laty dwudziestu pięciu, językiem. Sprawa Warszawy posiada swoje oblicze jedyne i swoje oblicze powtarzalne.

Te obydwa oblicza pragnie utrwalić Kazimierza Brandysa opowieść o Warszawie „Miasto niepokonane" *). Pragnie oddać ów jedyny, już nigdzie poza wspomnieniem nie dający się odtworzyć, wygląd Warszawy pomiędzy dwoma wrześniami: 1939—1944. Jeżeli bowiem cechą każdego tematu prawdziwie epickiego jest to, że musi on niepowrotnie zapaść w przeszłość, a ożywać jedynie w pamięci i legendzie, Warszawa lat okupacyjnych stała się tym tematem w sposób pozbawiony jakiegokolwiek podobieństwa w historii. Żyją setki tysięcy świadków, nie żyje czas, nie żyją nawet kamienie, na których czas epicki pisał się przejściami ludzi.

„Niech nikt się nie spodziewa znaleźć na tych stronach wspomnień o Warszawie dawniejszej. Byłyby to wspomnienia podobne do losów innych miast, niewiele od nich różne. Pragnę tę książkę poświęcić samotnym dziejom miasta, samotnym w czasie i przestrzeni, bo życie i śmierć Warszawy nie znalazły równych w dziejach żadnej stolicy pod słońcem i w żadnej śmierci tej wojny" — czytamy we wstępnym „Słowie o mieście".

Los Warszawy umieszczony jednak został wśród wydarzeń drugiej wojny światowej. Ta wojna znów, chociaż tak niszczycielska i okrutna, była jedną z niezliczonych wojen ludzkości i nikt nie wie, czy była ostatnią. Gesty matek żegnających synów, którzy odchodzą na wojnę, są zawsze takie same. Twarze tłumu przed afiszami mobilizacyjnymi — podobne. W sierpniu 1939 roku wyświetlano filmy, których akcja odbywała się w lipcu 1914.

„Ludzie zawieszeni wysoko w szklanych klatkach kabin nie są wprawdzie podobni do wojowników ze starych hrabstw Brytanii i ruchy ich ciał stulecia wprawiły w nowy rytm — ale ich krew drga tą samą wibracją, a szczęki ich zaciska ten sam stężały zgrzyt uporu, dawno znajomy polom bitew. Więc nie szukajmy nowych prawd w tych huczących zmaganiach ziemi, powietrza i ognia. Żołnierz zabija w walce żołnierza, dowódca pochyla się nad mapą, mieszczanie krzyczą: niech żyje ojczyzna!" — czytamy gdzieś w głębi książki Brandysa.

Jak z tego podwójnego zadania artystycznego, za pośrednictwem jakich sposobów prozy wywiązał się Brandys?

II

Użyty przez Brandysa podtytuł *opowieść* jest podtytułem, żeby tak powiedzieć — doraźnym. Użytym w braku lepszego oznaczenia. Ta opowieść o mieście miesza bowiem z konieczności elementy bardzo odmiennych ujęć prozaicznych. Nie dlatego to podkreślam, by z owego pomieszania czynić Brandysowi zarzut, jakby to mógł przypuścić czytelnik, któremu wiadome są moje poglądy na sprawę czystości gatunków literackich. Podkreślam natomiast po to, by stwierdzić, że postawionego zadania Brandys nie mógł formalnie rozwiązać inaczej, niż to uczynił. Opowieść o mieście, tworze socjologicznie wielowarstwowym, złożonym z losów indywidualnych, z nastrojów ulicy, z przygód, wzruszeń, zarobków i zgonów, napisać można było tylko w sposób złożony, różnolity formalnie. Naturalnie mógł Brandys napisać normalną powieść o Warszawie, rozmieszczając pomiędzy dwoma wrześniami losy swoich bohaterów, ale dyskrecja w tym względzie przynosi mu raczej zaszczyt...

„Miasto niepokonane" rozpada się na czternaście zamkniętych ustępów prozaicznych, rozłożonych równomiernie na czas epicki Warszawy; na każdy rok wojny, z wyjątkiem 1942, przypada mniej więcej równa ich liczba. Punkty kulminacyjne tych zamkniętych całości są zarazem punktami kulminacyjnymi całej wojny, widzianej przez losy Warszawy. „Wrzesień" — wrzesień 1939. „Lato klęski" — upadek Francji. „Dniepr" — uderzenie na Rosję. „Strategia" — powstanie w ghetcie. „W łunach patosu" — powstanie warszawskie. Opowieść o mieście nakłada zatem autor równomiernie na opowieść o wojnie w ogóle i w ten sposób książka jego osiąga spokojną i zrównoważoną kompozycję samego tematu. Tak więc ogólny układ „Miasta niepokonanego" jest uwarunkowany tematem, ale poszczególne fragmenty tomu są formalnie odmienne.

Są bowiem w tej książce partie będące dobrymi reportażami, jak przede wszystkim rozdział o powstaniu warszawskim, „W łunach patosu". Są z przeżyć rzeczywistych zaczerpnięte charakterystyczne obrazki obyczajowe, jak „Pierwsza zima" z historią papierośnicy i jubilera Pelca, jak „Bieżący czas" z opowieścią o fałszywych obrazach. Są urywki socjologiczne, prozatorskie monografie warszawskiego domu we wrześniu 1939 („Wrzesień") czy warszawskiego mieszkania w pełni okupacji („Wiosna na Pogodnej"). W obrębie zamkniętego fragmentu mieszają się i przenikają różnolite formalnie ujęcia. Tempo i gatunek relacji Brandys często zmienia.

Skutkiem tego odpowiedzi na pytanie, jak wybrnął z postawionego zadania, należy szukać gdzie indziej. Nie tyle w zespole odziedziczonych form, ile w pewnych motywach myślowych, w pewnych naświetleniach uczuciowych, które z przedstawioną dotąd kanwą krzyżują się w sposób od niej niezależny. Szukać wreszcie wypada w samym gatunku prozy i relacji, tym zwłaszcza, który, pochodząc wprost od autora, spaja odmienne formy, stanowi coś jak gdyby tkankę łączną pomiędzy nimi.

III

Trzy są ujęcia, za których pomocą Brandys stara się odtworzyć jedyny i niepowtarzalny charakter sprawy warszawskiej. Pierwsze z nich, to **groteskowe widzenie rzeczywistości.** W sposób mniej frasobliwy, nieraz przypominający wymyślną naiwność Dygata, pojawia się to spojrzenie groteskowe w pierwszych partiach książki. „Wróg wtargnął w granice ojczyzny, kiedy ja spałem w łóżku z kołdrą zaciągniętą pod brodę." — „Zaszedłem do kawiarni na Traugutta, by zobaczyć wojenne zmiany na twarzach elity. Chudzi poeci z awangardy siedzieli smutni z maskami na tyłkach." Jesteśmy we wrześniu 1939.

Tym samym tonem groteski tchnie jeszcze pasjans ojca, magią kart usiłującego bronić Paryża. Ale w dalszych częściach książki, gdzieś od pierwszej łapanki, od sceny z pijakiem w tramwaju, jeszcze przedstawionych w ten pierwszy z groteskowych sposobów, groteska poczyna być niesamowita i ponura. Proszę przeczytać opis dywizji pancernych, sunących przez mosty wiślane na wschód. Proszę przeczytać taki ustęp, jak wybuch panny Balbiny i obrona Adama, wyjaśniającego, ile to już wyroków śmierci wisi nad mieszkaniem na Pogodnej, czy wreszcie pożegnanie dozorcy z synem porwanym na roboty. Czasem jedynie, kiedy krajowa naiwność i krajowe pociechy wystąpią na tle prawdziwego wymiaru wojny, dysproporcja pomiędzy nimi a tym wymiarem znów daje wrażenie rozbrajającej groteski. Oto jak wyglądają pociechy Warszawy w czasie marszu niemieckiego w głąb Rosji: „Ruszyć naprzód łatwo, to wiemy; przełamać pierwszy opór, owszem, można. Ale co dalej? Step, panie szanowny, jak morze. Nogi nie ma gdzie oprzeć. Zbłądzą, bo drogi tam nie znajdziesz; Sowieci polami przez krzaki gonią."

By wyjaśnić, skąd ten charakterystyczny rozwój ujęcia groteskowego, należało by się wdać w rozważania sięgające poza książkę Brandysa. Przy innej sposobności. Na razie zarejestrujmy drugi sposób artystyczny, który ma służyć odtworzeniu wyglądu Warszawy. Jest nim umiejętność **szkicu lokalnego.** Nazywam tym terminem te liczne, rozrzucone na kartach „Miasta niepokonanego" opisy miejsc, spotkań, nastrojów ulicy, domów warszawskich, napęczniałych od sprzecznych postępków ich mieszkańców, zapłakanego gazeciarza w dzień upadku Paryża, bridża w czasie nocnych strzelanin i tak dalej, i tak dalej. Najlepsze pośród tych stron są te, które wywodzą się z ducha groteski. Tych charakterystycznych szkiców czasu i otoczenia jest dosyć dużo, ale nie tyle, by zupełnie nasyciły ciekawość czytelnika. By wszystkie, jakże odmienne, lata Warszawy przypominały mu z równą intensywnością.

Trzeci wreszcie sposób, to **szkic pod postać powieściową.** W utworze Brandysa występuje kilka osób, których losy i myśli najżywiej mówią o losie miasta: Dozorca z Grójeckiej, uosobienie mądrości, sprytu i wiary ludu warszawskiego; zapobiegliwy w każdej dobie, w czas oblężenia gromadzący dobytek Sułek; filozoficzno-estetyzujący kolaboracjonista Emil; smutny samobójca pan Zieliński — oto przykłady owych postaci, które — zawsze z dużą pewnością artystyczną — Brandys czerpie z różnych sfer. Szczególnie mu się udają szkice prostych ludzi: dozorcy i Sułka.

Wypada żałować, że narrator przez dosyć znaczną część okresu, o jakim opowiada, był zajęty pisaniem powieści i nie miał czasu na obserwację żywych ludzi, zaabsorbowany konstruowaniem fikcyjnych. Żałować również wypada, że zamiast grupy takich postaci wysunął jako łącznik pomiędzy poszczególnymi etapami powieści samego siebie. Ale to są typowe żale spóźnione.

IV

Odtworzeniu powtarzalnego wyglądu sprawy warszawskiej służą u Brandysa dwa ujęcia prozatorskie. Pierwsze z nich to coś, co by można nazwać **perspektywicznym widzeniem rzeczywistości.** Chodzi o to, że los Warszawy, chociaż dopiero dla

*) **Kazimierz Brandys.** Miasto niepokonane. Opowieść o Warszawie. (Kraków). „Książka", 1946; str. 287 i 1 nl.

Z listu do wyborców

Gdybym, ubiegając się o mandat poselski, miał mówić do swoich wyborców o sobie samym, zająknąłbym się przy pierwszym słowie. I to bynajmniej ani nie ze skromności, prawdziwej czy fałszywej, ani nie z onieśmielenia. Pisarze są przyzwyczajeni nie tylko do formułowania i uzasadniania swoich poglądów, ale nawet do wyrażania najskrytszych swoich uczuć. Książki podlegają ocenie każdego czytającego człowieka, opinie o utworach literackich i ich autorach krążą wśród współczesnych, zmieniają się i utrwalają z czasem. A więc nie nieśmiałość ani nie wzgląd, jak to, co o sobie powiedziałbym, przyjęliby wyborcy, wstrzymuje mnie od mówienia o sobie.

Powstrzymują mnie inne powody, a mianowicie: świadomość ogromu zadań, jakie ma do spełnienia przyszły sejm i poczucie wielkiej odpowiedzialności ciążącej na przyszłych posłach. Wszystkie dokonania i zasługi osobiste jakże są małe wobec tego, co jest do zdziałania! Dopiero w tej przyszłej pracy ustawodawczej wybrany na posła dowiedzie, czy to, co osobiście reprezentuje, uprawniało go do roli przedstawiciela społeczeństwa.

Wielkie czasy wymagają wielkiego poczucia obowiązku i tak wielkiej ofiarności i pracy, że nikt, kto trafnie ocenia jej zakres, lub tylko domyśla się jej ciężaru i doniosłości, nie ośmieli się twierdzić, że to praca i obowiązek, jakim podołać mogą jego siły i zdolności.

To, że kandyduję na posła, jest nie tyle wyrazem pewności, iż podołałbym nałożonym na siebie obowiązkom, ile karnym podporządkowaniem się woli klasy robotniczej. Mam oddać sprawom państwowym część swego czasu poświęcanego pisaniu. Mam zdobyć się na dodatkowy wysiłek tak, aby praca, do której czuję się powołany, nie doznała uszczerbku. Trzeba zapomnieć o sobie i mierzyć swoją wartość wierną służbą wielkiej sprawie. Tak zapomina o sobie, ofiarując swój nadmierny trud, robotnik polski, górnik wykonujący z nadwyżką plan wydobycia węgla, robotnik budowlany z gruzów dźwigający zburzoną stolicę, chłop trudzący się na ugorach pobojowiska. Z ludem pracującym, z tymi, którzy tworzą żywe dzieje naszej ojczyzny, jednoczy się pracownik umysłowy, sprawie klasy robotniczej, sprawie ludu pragnie służyć pisarz. I nie ma dlań większego dowodu uznania i wyższego rozkazu — niż zaufanie wyrażone mu przez robotników.

Postawienie mojego nazwiska na liście wyborczej kandydatów Bloku Stronnictw Demokratycznych przez Polską Partię Robotniczą uważam za wielki zaszczyt, ale nie sobie przypisuję zasługi i zalety, które by ten zaszczyt usprawiedliwiały. Rozumiem myśl, która skłoniła do wysunięcia kandydatur pisarzy: chodzi o zamanifestowanie dążności klasy pracującej do kultury i sztuki. Dlatego to na liście krakowskiej znalazły się aż dwa nazwiska literatów. Nazwisko pierwszego na liście człowieka pióra — jest tak świetne i znane, że ta myśl świeci pełnym blaskiem. Kraków pełni dziś rolę stolicy kulturalnej Polski, Kraków robotniczy pragnie mieć w sejmie kogoś, kto by reprezentował świat kultury i sztuki. Jest ktoś taki na liście Bloku Stronnictw Demokratycznych, kandyduje znakomita pisarka, godna najświetniej uosabiać tę dążność zwycięskiej demokracji polskiej: ZOFIA NAŁKOWSKA.

Julian Przyboś

narratora, który go przebył do końca, jest zamknięty i widoczny, chociaż nie był takim na poszczególnych ogniwach opowieści — nie daje się z tych ogniw usunąć. Rzuca na przeszłość swoje cienie. Oto pierwsza wigilia wojenna. „Ręce w Warszawie wznosiły świąteczne kieliszki, pijąc pierwsze braterstwo ze śmiercią. Przyszłe numery Oświęcimia przepijały do cel Pawiaka, prochy komór gazowych trącały się szkłem z ofiarami Alci Szucha mówiąc: — Na zdrowie!“

Oto co nazywam widzeniem perspektywicznym. Ten sposób pojawia się u Brandysa często. Sprawom, które się dopiero staną, każe on przeświecać przez dziejące się właśnie wydarzenia. Jakiś cień fatalnej konieczności pada na karty opowieści, cień, który dopiero w dniach powstania odwróci swój kierunek. Wtedy bowiem poprzez niedawną przeszłość Warszawy poczyna się tłumaczyć odwaga powstania i skrót perspektywiczny, jaki wówczas Brandys poda, mówi więcej niż obszerne wywody psychologiczne: „Kiedy dom chwiał się od pędu powietrza, a niebo pruł warkot i gwizd, kiedy szukałem nad sobą stropów, które by mogły mnie ocalić — wówczas, jak groźna przestroga przed lękiem, pojawiał mi się w myślach ciąg śmierci wojennych — od pierwszej kuli Jana poprzez szczątki harcerza z Oświęcimia i parabellum pana Zielińskiego, aż po plakat z nazwiskiem Stasia Woyny i po upadek Emila. Każda z nich była trudniejsza niż śmierć, która mnie mogła tu spotkać.“

Drugi ze sposobów na oddanie powtarzalności to **komentarz intelektualno-historyczny.** Brandys bardzo chętnie przystaje przy takich sytuacjach, gdzie w komentarzu może położyć kropkę nad powtarzalnym, w doświadczenia i prawa dającym się ująć sensem wydarzeń. Przydaje im ów rezonans, jakby same wydarzenia nie były zdolne przemówić w sposób dostatecznie silny. „Dziwne to były osoby dziejów, ci studenci, uczniowie i dziewczęta“ — w ten sposób rozpocznie najzwyklejsze zdanie. Gdy Niemcy pędzą Książęcą w górę kolumnę jeńców sowieckich — „historja wiodła ich przez Nowy Świat ku jednej ze swych stacji“. Kiedy nawała niemiecka rusza na Rosję: „Spędzałem wieczory nad mapą, odszukując drogi hetmańskich pochodów i miejsca wygasłych bojów... Pobudzaliśmy w sobie wówczas wiarę w niezmienne prawa historii, które nigdy dotąd nie pozwalały ogarnąć obszarów rosyjskich, które sprawiały, że ginął w nich człowiek“.

Historia, dzieje, heroizm, prawa, to bodaj najczęstsze terminy „Miasta niepokonanego“. Komentarz przerasta całą opowieść Brandysa. Wiedzie do trafnych skrótów. Oświęcim to przedmieście Warszawy. Króla z kolumny „spotkała powstańcza dola: osunął się na bruk, nie wypuszczając broni z ręki“. Ale ten komentarz zbyt skrupulatnym i nie pozostawiającym miejsca na elipsę i kontrast nadmiarem wiedzy o wypadkach ciąży nad relacją. Bo w zespole używanych przez Brandysa sposobów prozatorskich wybija się on niewątpliwie na pierwszy plan. Wzajemna zaś proporcja pozostałych środków pozwoli określić gatunek jego prozy.

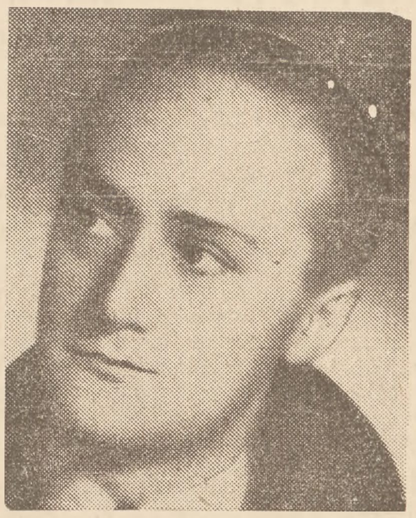
V

Proza Brandysa więcej jest **wiedziana** aniżeli **widziana.** Schludna, staranna i wypracowana nie nosi na sobie znamion tej wdrążającej się w rzeczywistość dociekliwości zmysłowej, jaka udziela się również czytelnikowi. Z tych, które wyliczyliśmy, sposobów artystycznych, jedynie dwa — szkic sytuacji i szkic pod postać — należą do prozy, która dostrzega rzeczywistość poza powziętą skądinąd wiedzą o niej. Pozostałe ujęcia, a z nich przecież, z komentarza szczególnie, składa się znakomita większość „Miasta niepokonanego“, są pochodzenia intelektualnego. Należą do prozy wiedzianej Na tym tle jakże charakterystyczna jest skarga: „nie wszystko, co tam oko widziało, zachowała pamięć“. Nie jest to jedyna w tej książce skarga o podobnym brzemieniu.

Nie uważam naturalnie, by tylko taka proza, dla której świat jest jak rozgryziony miąższ, pełen soku, smaku i woni, miała prawa do egzystencji. Proza intelektualna ma swoje słuszności i przewagi. Chodzi mi jedynie o to, że przy podjętym przez Brandysa temacie właśnie ten rodzaj odczuwania artystycznego, ten gatunek prozy wiedzącej, jaki jest mu właściwy, nie pozwolił odpowiedzieć wielu wymaganiom tematu.

Oto ów jedyny, niepowtarzalny wygląd okupacyjnej Warszawy, dla wszystkich nas, którzy go zachowujemy w pamięci, przechodzi w jej wygląd powtarzalny i symboliczny nie na podstawie wytworzonego w pamięci komentarza. Przechodzi na mocy jakiejś niesamowitej, trudnej do nazwania, choć tak utrwalonej w pamięci, niezwykłości tego miasta na tle reszty Generalnej Gubernii i zapewne reszty Europy. To bogacące się miasto, u którego rogatek przeciągnięto granice, na ulicach uczyniono cmentarze, było jakimś lunatycznym tworem. Napięcie wszystkich władz umysłowych i fizycznych posiadało tę samą ostrość i — kruchość, co u lunatyka na gzymsie, w prowadzącym go świetle księżyca. Dla Warszawy było to światło pewności i wiary w siebie. Na takim gzymsie każdy jest akrobatą, byle na niego nie krzyknąć, nie wezwać do rzeczywistości.

Tę jedyną niezwykłość zdolny będzie kiedyś oddać pisarz o innym układzie talentu prozatorskiego niż ten, jakim obdarzony jest Brandys. Pisarz umiejący z taką widzianą, zmysłową dobitnością chwytać objawy rzeczywiste, że stają się one przez to symboliczne, znamienne



Kazimierz Brandys

i powtarzalne. Tylko na takiej drodze pisarskiej sprawa Warszawy bez komentarza intelektualnego może zostać sprawą dziejową i powtarzalną. Podobnie jak w Tołstoja „Wojnie i pokoju“ nie jego refleksje historiozoficzne sprawiały, że w najgorszy czas wojenny sięgaliśmy po jego dzieło, szukając w nim pewności, ale siła jednorazowego, epickiego spojrzenia.

Brandys tę drugą stronę zadania, to wielokrotne, ważne dla każdej epoki widzenie odbywającej się przed naszymi oczyma historii nadrabiać musi komentarzem. Jego proza nie drąży rzeczywistości na przestrzał. Najczęściej bywa jak klisza, ostro wywołana po swoich ramach i obwódkach, nie zawsze należycie doświetlona w środku, tam, gdzie spoczywa właściwy obraz. Nie daje materiału tak ostro ujrzanego, by sam za siebie mówił jak ostateczny komentarz. Ale takiego materiału nie daje jeszcze nikt. A jeżeli postulat wydać się może zbyt surowy i wygórowany, winne są temu jedynie naprawdę wysokie ambicje artystyczne „Miasta niepokonanego“.

Na razie jedno jest pewne. W zespole wycieczek z powieściową motyką na temat Warszawy okupacyjnej i powstańczej książka Brandysa góruje zdecydowanie właśnie przez swoje ograniczenie, przez obiektywną skromność relacji pragnącej służyć jedynie odtworzeniu losów Warszawy. Pozostanie na pewno dokumentem szlachetnego i miłującego hołdu dla miasta, które dla każdego Polaka jest „ojczyzną naszego wzruszenia“.

Kazimierz Wyka

ARTUR SANDAUER

Uwagi o nowelach Rudnickiego

Podobnie jak w miejscu, gdzie drzewo jest ranne, powstaje hipertroficzna narośl, tak siła pisarza wynika niejednokrotnie z jego nieudolności: Demostenes stał się mówcą, mimo — lub raczej dlatego — że był jąkałą. Napisanie normalnej powieści było, prawdopodobnie, marzeniem Prousta; niestety, lub może na szczęście, nie zdołał go ziścić i „Poszukiwanie straconego czasu“ jest wspaniałym poronieniem.

Oryginalność prozy Rudnickiego *) wynika z pewnych jej zasadniczych niedostatków. Przymierzone do zasad klasycznych, opowiadanie „Major Hubert z armii Andersa“, którego pierwsza część poświęcona jest obcym właściwemu tematowi kłopotom mieszkaniowym autora, jest źle skomponowane: podobnie „Józefów“; „Lato“, a cóż dopiero „Wrzesień“, są chaosem nieuporządkowanych zdarzeń, których łączność jest czysto linearna. Język jego trąci, niekiedy, barbaryzmem: i wyrażenia, jak „byłem w tym okresie skończony wariat“ itp., niezupełnie mieszczą się w tradycjach klasycznego stylu. Wreszcie — jak na prozaika — zbyt często mówi o sobie; zaludnia świat swymi wcieleniami.

Te jednak właściwości pozwalają stworzyć Rudnickiemu odmienny od dotychczasowego rodzaj kompozycji lirycznej. Nie major Hubert z armii Andersa i nie Joel z Józefowa, lecz on sam jest bohaterem tych opowiadań. Trwa zawsze w kącie swych nowel jako widzące oko. Chcąc opowiedzieć losy jakiejś postaci, cofa się, bierze rozpęd, by odtworzyć sytuację, w której on się ze swymi bohaterami zetknął. Jego język podchodzi jak gdyby zbyt blisko do czytelnika, zdobywa go nieoczekiwaną poufałością. „O! mój obłęd miał przyczyny, swoje uzasadnione przyczyny. Przyczyna mojego obłędu leżała w tym, że proszę was, mój styl pisarski całkowicie mi stwardniał, stwardniał do tego stopnia, że wszystko, co pisałem, wydawało mi się jak z drutu i wyrzucałem i niszczyłem i paliłem. W dodatku mózg mój jakby przestał się pocić, ładunek rzeczy, jaki z siebie wydobyłem, był tak lichy, że doprowadzał mię do łez. Miał ciężar rozbujanego papieru, gdy ja chciałem pod nim się uginać, jak pod worem węgla na plecach. Jakiż byłem nieszczęśliwy z powodu tego stwardnienia stylu, tego niepocenia się mózgu i nazbyt lichego ładunku!“.

*) **Adolf Rudnicki.** Józefów. Łódź, „Książka“, 1946; str. 16. — Major Hubert z armii Andersa. Tamże; str. 27 i 1 nl. — Wrzesień. Tamże; str. 67 i 1 nl. — Koń. Tamże; str. 23 i 1 nl. — Uśmiech żandarma. Tamże; str. 23 i 1 nl. — Lato. Tamże; str. 188.

Oczywiście, można w imię puryzmu protestować przeciw niektórym wyrażeniom, jak „uzasadnione przyczyny“ (jakież mogą być inne?), lecz niesposób się oprzeć pysznej jędrności i niewymuszeniu tej prozy, giętkości i wielorakości jej tonów. Czym bowiem dla poezji rytmika, tym dla prozy — ton. Lecz podczas gdy rodzaje wierszy już dawno skatalogowano i ogólnie wiadomo, że 13-zgłoskowiec np. jest majestatyczny, a 8-zgłoskowiec — ludowy, to tutaj mroki są jeszcze zupełne. Żaden z teoretyków nie określił dotąd, ja-



Adolf Rudnicki

kim sposobem osiąga się dystans do tematu, jak przyśpiesza się tempo akcji, jak zbliża lub oddala obiektyw. Rudnicki w każdym razie należy do nielicznych w naszej prozie wyjątków, które operują po mistrzowsku całą gamą tonów: od patosu do autopersyflażu. W cytowanym przykładzie: „Jakiż byłem nieszczęśliwy z powodu tego stwardnienia stylu, tego niepocenia się mózgu i nazbyt lichego ładunku!“ osiąga efekt autoironiczny przez zastosowanie elipsy czyli przez tzw. jazdę na metaforze.

Najbardziej charakterystyczny jest dla prozy Rudnickiego ów żałosny ton modlitewnego zawodzenia, wyraz troski prastarego ludu. Nowela „Koń“ gra ciągłymi aluzjami do języka żydowskiego, prawdopodobnie używają jej bohaterowie: ich słowa wzruszają swą nieporadną niepoprawnością. „Pozwoliłem ci za dużo książek czytać“ — pisze ojciec do zajmującego się polityką syna, którego z powodu olbrzymiego wzrostu przezwano Koniem. „Na sumienie, wolałbym już był wykształcić cię na doktora... Do czego chcesz doprowadzić, Koniu? Czyś po to zmienił adres, aby zgubić mnie na odległość?. Nie twoją rzeczą mieszać się. Niech świat złamie nogi, ty się nie mieszaj...“ Po raz pierwszy od czasów Orzeszkowej i Gomulickiego język polski, oddający narzecze ludu żydowskiego, nie jest przedmiotem prześmiewki, lecz wzruszenia.

Żydowskość jest u Rudnickiego nie tylko stylistyczną ale i treściową obsesją. Jedyny nieomalże z pisarzy tego pochodzenia, Rudnicki porusza ów bolesny, drażniący i drażliwy temat — w sposób tak osobisty. Ustalił się u nas, zwłaszcza po wojnie, obyczaj, że rodowód taki jest czymś, o czym się nie mówi. Ten spisek milczenia, który ciąży kamieniem na sercach i ustach, Rudnicki przerywa. Liryk ten, pisząc o sobie, nie może nie pisać o żydostwie. Wszelkie przemilczenie mści się straszliwie — także w sztuce; tylko prawda może ocalić artystę. Rudnicki ma jej odwagę: śmie nazwać swych bohaterów ich prawdziwymi imionami. Żydzi trwają, jak ryby głębinowe, pod ciśnieniem wielu atmosfer nienawiści, czują się rozpoznani każdym spojrzeniem. Gdy ktokolwiek inny oczekuje od nieznajomego przechodnia tylko obojętności, oni przeczuwają — może niesłusznie — wrogość. Nie dziw, że chowają głowę w piasek; niechowanie jej już jest dowodem nie byle jakiej odwagi. Rudnicki ją posiada. A równocześnie jest to autor najbardziej wzruszających, jakie znam, słów o klęsce wrześniowej („Major Hubert“). Dwunarodowość? Sprzeczność? Być może. Ale sprzeczności — powiada Goethe — rozwiązuje się żyjąc.

Zarzucają niektórzy Rudnickiemu brak — typowego podobno dla Żydów — intelektualizmu. Ci jednak, którzy przypisują narodowi temu abstrakcyjny wyłącznie sposób myślenia, zapominają, że — obok arystokracji uczonych — posiadał on w swej historii dionizyjskie i witalistyczne ruchy XVIII wieku. Rudnicki kontynuuje tę głęboko ludową, antyabstrakcyjną i — mimo skwarnej posuchy ghett, w jakich żyli — radosną tradycję żydowskich dorożkarzy i nosiwodów. Umie upić się konkretem, zna oszołomienie szczegółu, potrafi ujrzeć przedmiot w jedyności, „cette qualité qu'ont les objets d'être uniques“ — powiedziałby Valéry. Oto opis ruin warszawskiego ghetta: „Nie było nic prócz gruzu i kawałków rozbitej cegły, pokrytych tu i ówdzie blachami żółtymi i szarymi jak niewyprawione wołowe skóry. Tu miasto było wymazane, zdjęte z powierzchni jak namiot z łąki... Wokoło panowała martwa cisza, a jedynym głosem życia był szmer kanałów, płynących pod ziemią. Gdzieś daleko pomiędzy pagórami gruzu przeszło gęsiego kilka osób. Nad miastem, obróconym w nicość, wisiało niebo pochmurne i chłodne“.

W „Lecie“ (przedwojennym jeszcze zbiorze poetyckich reportaży z Kazimierza nad Wisłą) Rudnicki jest nieskończenie analityczny. Zagubiony w wielorakości świata, kuszony bogactwem jego odmian, kreśli linie orientacyjne w tym gąszczu stosunków międzyludzkich i międzyprzedmiotowych: zapuszcza sondę raz po raz, niewiele dbając o to, czy wyniki kolejnych badań są zgodne; dla każdego wypadku tworzy nową i odrębną teorię, intelektualny domek z kart, syntezę, która, nie roszcząc sobie pretensyj do prawdziwości, stara się jedynie uchwycić jedyność i niepowtarzalność zjawiska. Uprawia filozofię szczegółu. Sformułowanie to wydaje się na pozór sprzeczne; wszelka bowiem teoria jest ogólnością. Specyficzność jednak metody Rudnickiego leży w tym, że nie przypisuje on — jak czynią abstrakcyjni myśliciele — przedstawianym przez się objektom pewnych cech stałych, lecz, odwrotnie, upłynnia je, ukazuje, jak w danej sytuacji — i tylko w niej — zlewają się one w jedno ze swym tłem. Demonstruje zatem ogólność nie przedmiotów, lecz tego, co się z nimi dzieje, ich sytuacji, łączy je jednym wspólnym orzeczeniem. Jakąś cząstką swej osoby postaci „Lata“ uchodzą w zaplecze wieczorów letnich, piasków nadrzecznych, świąt jesiennych. Podobnie w (powojennym już) „Uśmiechu żandarma“ kompozycja opiera się nie na jedności intrygi lub tożsamości bohaterów, lecz na rozłożonym między wielu statystów ogólnym dzianiu się: na wielkim, niedzielnym i niepodzielnym, ogarniającym całe miasto pijaństwie.

„Lato“ jest książką metafizyczną. Nie znaczy to, co prawda, jakoby metafizykiem był wówczas i jej autor. Prestidigitator nie musi — a może i nie powinien — podzielać iluzyj, które wywołuje. Lecz w aurze tamtej, przedwojennej epoki była skłonność, by udziwnić rzeczywistość, podnieść ją do potęgi symbolu lub raczej — ponieważ ówczesne symbole nie miały ścisłego znaczenia — fetyszu. W „Lecie“ nic nie istnieje po prostu; wszystko wskazuje poza siebie. Małomiasteczkowa knajpa urasta do rozmiarów ostatecznej, piekielnej przystani, dokąd zawijają, skołatani wędrówką po księżycowych wądołach, letnicy.

Ta, niepodzielnie przed wojną panująca u Rudnickiego, metafizyka obecnie skurczyła się i zmalała: wyziera jeszcze czasem spoza szczelin jakiejś metafory lub też, ukryta dyskretnie, czai się poza dekoracjami opisów. Lecz, jakkolwiek w stanie zanikającym, jest; odnajdujemy ją w niektórych powiedzeniach, jak: „Patrzącym Amelia przypominała kogoś. Nie przypominała, lecz wyzwalała starą jak świat tęsknotę za pięknem — tkwiącą w każdym z nas“ — lub w tonie niektórych opisów.

Nie przeszkadza to jednak Rudnickiemu być jedynym bodaj że z naszych pisarzy, który, wyszedłszy poza zaklęty krąg tematyki okupacyjnej, dotknął zagadnień aktualnych: sprawy ludzi, zniszczonych psychicznie przez wojnę, w najpiękniejszym chyba ze wszystkich „Czystym nurcie“, sprawy powrotu andersowców w „Majorze Hubercie“; alkoholizmu w „Uśmiechu żandarma“. Na gruzach obumierającej metafizyki wyrasta świeży i świetny realizm, karmiący się jednak jeszcze jej podziemnymi sokami. Tam bowiem, gdzie Rudnicki poprzestaje na czysto faktograficznym, obiektywnym opisie, ponosi — jak w nieudałym „Wrześniu“ — gruntowną klęskę. Na szczęście, takich prób ściśle zewnętrznej opisowości jest u niego niewiele. Ilekroć pozostaje sobą, tj. lirykiem i teoretykiem szczegółu, Rudnicki jest jednym z najbardziej czystych i bezkompromisowych artystów, jakich ma współczesna literatura polska.

Artur Sandauer

JULIAN PRZYBOŚ

O słuchu poetyckim

Czym wytłumaczyć — pytał mnie pewien znajomy — że wiersze w obcym języku wydają mi się piękniejsze? Że, przełożone, nawet bardzo dobrze przełożone, tracą jednak coś, co czyniło je w moim, może złudnym, odczuciu — pełniejszymi i, by tak rzec, niezwyklejszymi?

O właśnie: niezwykłość, dziwność — ten odwieczny przymiot mowy wiązanej — oto, co odbiera naszemu wrażeniu każdy przekład, jeśli go porównamy z oryginałem obcojęzycznego wiersza. Badacze twierdzą, że narodzinom mowy poetyckiej towarzyszyło zaczarowanie, „zamówienie" (w znaczeniu egzorcyzmu), urzeczenie. Tego pierwiastka niezwyczajności, inności w stosunku do mowy zwyczajnej (użytkowej, „komunikatywnej") oczekujemy bezwiednie od wiersza. Dźwięki obcego języka wpadają w ucho inaczej, **uderzają**, uwyraźniają się na jakby dosłyszalnym tle osłuchania się z fonetyką języka ojczystego. Nawet dla człowieka władającego równie dobrze obcym językiem, obcy wiersz, jeśli ów słuchacz ma ucho wrażliwe na poezję, dźwięczeć będzie nie bez lekkiego akompaniamentu dźwięków mowy ojczystej. (A któż odczuwa obcą mowę tak głęboko jak własną, tę, która była najpierwszym językiem dzieciństwa. Podobno emigranci, nawet tacy, którzy przez dziesiątki lat nie używali i zapomnieli języka ojczystego — powracają do niego na łożu śmierci). Zawsze więc, w większym lub mniejszym stopniu, język cudzoziemski będzie — obcy, niezwyczajny; uwydatni się silniej we wrażliwości słuchowej, a więc przyda wierszom (czarującej lub dziwacznej) niezwykłości.

Odczuwali to zawsze poeci, zwłaszcza poeci-słuchowcy. Kto wie, czy ten wzgląd nie jest niemałym powodem skłaniającym poetów do tłumaczenia obcych poezji. Ciekawe byłoby zbadać, którzy poeci bywali najpłodniejszymi tłumaczami: czy nie ci, którzy w swoich wierszach szczególnie byli czuli na zestrój dźwiękowy sylab, na tak banalnie zwaną „melodyjność" strofki?

Ale ten wzgląd, jeśli w pewnym stopniu skłaniał do tłumaczeń, towarzyszył zapewne i oryginalnej twórczości tłumaczy. Ciekawe zjawisko obcojęzycznych wtrętów słownych ma w poezji inne przyczyny niż te, które skłaniają do wtrącania obcych wyrazów w tok mowy potocznej. W prozie obcy wyraz może mieć znaczenie cytatu, nieprzetłumaczonego czy nieprzetłumaczalnego, może służyć do charakterystyki postaci itd. — w poezji lirycznej obcy wyraz, jeśli nie jest manifestacją dandyzmu, snobowania się cudzoziemszczyzną (przykład: Bruno Jasieński) — służy przede wszystkim zamiarowi wywołania słuchowego dziwu. Jest to zazwyczaj środek jaskrawy, nie łatwo odjąć mu przywarę ekscentryczności. (Trafne uwagi na ten temat poczynił H. Vogler pisząc o Słonimskim).

Nie wiem, czy historykom naszej literatury wiadomo, co skłoniło Kochanowskiego do napisania „Carmen macaronicum". Przypuszczam, że nie była to tylko krotochwilna chętka. Przemieszanie dwu języków było konsekwencją jego dwujęzycznego pisarstwa i musiało temu łacińsko-polskiemu poecie sprawiać szczególną satysfakcję. Nie tylko bawiło, ale i dawało radosny dreszcz śmiałego eksperymentu*). Zespalał w jedno to, co dotychczas spod jego pióra płynęło dwoma różnymi nurtami, lecz pozwolił antycznemu heksametrowi panować nad nowoczesną mową nie tylko rytmicznie: klasyczny rygor narzucił także preponderancję klasycznego języka. Język „Carmen macaronicum" Kochanowskiego ma składnię łacińską i w ogólności można go uważać za łacinę upstrzoną polskimi wtrętami.

Historia współczesnej literatury wskazuje znakomity przykład użycia cudzego języka jako czynnika poetycznej dziwności — w „Czarodziejskiej górze" Tomasza Manna. Noc sylwestrowa Hansa Castorpa i madame Chauchat przemienia się w czarodziejską baśń, w której zaczarowani mówią nie swoim powszednim językiem, bo niepowszednia i dziwna była ich jedyna noc wyznań. Joyce poszedł dalej i ostatnie swoje dzieło napisał językiem, który być może jest prefiguracją jakiegoś uniwersalnego języka literackiego przyszłości. Zuchwały, fantastyczny zamiar — który dziś musi się wydać dziwactwem i skazuje jego utwór na nieczytelność: Stworzyć dzieło w języku opartym w zasadzie na języku najpowszechniejszym na świecie, nie rezygnując jednak z piękności dźwiękowych wszystkich głównych języków Europy. Taki był gigantyczny zamiar Joyce'a. I napisał książkę, dla której przeczytania trzeba by wielotomowego komentarza — ale kto wie, czy ten przedwczesny jego wysiłek nie znajdzie w przyszłości wielu jeszcze kontynuatorów, aż kiedyś odbuduje się wieżę Babel jednej, powstałej z wielu, mowy. Język angielski, najmniej czysty z języków europejskich, makaron różnorodnych pierwiastków słownych — kusił widać szczególnie do takiego eksperymentu.

•

Pisarze tworzący w obcym języku mają do pokonania nie tylko zwykłą trudność, jaką nastręcza każdemu nieojczysty język. Obcy język, użyty jako materiał artystyczny, objawia pisarzowi inne, niezwykłe właściwości wyrazu: i dźwięk dźwięczy inaczej i tok słów zespala się we frazy inaczej wyraźne. Choćby pisarz tworzący w obcym języku starał się zapomnieć swój język ojczysty tak zupełnie, by nie przeszkadzał, to jednak nawyk słuchowy dzieciństwa kształtować będzie jego wrażliwość. Tak tworzył Conrad; jego wypracowana angielszczyzna brzmi w uszach Anglika jakoś inaczej, cudzoziemsko. Anglicy przypuszczają, że mówi przez nią coś trudnego do określenia, a co na Zachodzie mianuje się ogólnikowo „duszą słowiańską".

Jeśli trudno wydobyć piękno z języka, który się zna od dzieciństwa — to, wydawałoby się, o ileż trudniej uczynić to w języku nabytym. Ale język obcy, niespowszedniały tak w odczuciu jak własny — już przez to samo, że obcy, przemienić się może pod piórem piszącego w obcym języku w wyraźniejszy materiał artystycznego kształtowania niż język własny. Każdą wartość stylistyczną cudzej mowy czuje się silniej, bo trudniej się ją zdobywa, obce słowa ostrzej odrysowują się od siebie. Najtrudniej uzyskać w obcym języku niedostrzegalność stylu, taką przejrzystość prozy, by nie zatrzymywała uwagi na słowach. Trudno twierdzić na pewno, ale wydaje mi się, że pisarze tworzący nie w swoim języku łatwiej osiągną swój wyraz artystyczny w poezji niż w prozie. Jeśli, oczywiście, przyjmiemy, że w prozie ideałem stylu jest styl niedostrzegalny.

•

Dźwięki pewnych słów wywołują asocjacje niezależnie od ich znaczenia. Zdarzyć się może, że w odczuciu poety dźwięk słowa przeczy jego treści. Tę wrażliwość na dźwiękowy walor słowa traci się już w dzieciństwie, ale zjawia się ona, gdy słuchamy słów obcego języka. Autor jakiejś francuskiej rozprawy estetycznej na ten temat przytacza jako przykład niemiecki przymiotnik: „ekleklich"; ten zespół sylab robił na nim wrażenie czegoś bardzo śmiesznego. Znana jest anegdota o Francuzie, który zachwycał się dźwiękami słowa „cielęcina" i przypuszczał, że słowo to oznacza „miłość". (Mnie czarowało słowo „éteignoir", dźwięcznością równe „cielęcinie"; w wierszu „Na Zachód" prozaicznego gasidła użyłem po francusku).

Byli poeci, których główny trud polegał na przywracaniu słowom ich sensu dźwiękowego: na takim zestosowaniu sylab i słów, żeby treść pojęciowa godziła się z sensem dźwięku, tj. z tym, co samo brzmienie słowa sugeruje wyobraźni. A byli i dziwacy, którzy na rzecz tego dźwiękowego sensu rezygnowali z pojęciowego znaczenia wyrazów.

Normy dźwięcznego piękna są w każdym języku inne. To, co w języku polskim uchodzi za dźwięczne — w języku włoskim (klasycznie pięknym, bo najbliższym łacinie) brzmi zwyczajnie i jeszcze nie dźwięcznie. Opowiadał mi Kubacki, że Włochom pragnącym posłyszeć, jak brzmi polski język — recytował Rydla: Wiatry zwiały — ten kwiat biały — z pachnącej jabłoni... i słuchacze byli zachwyceni, bo ten gładki Rydel nie różnił się w ich uchu od dźwięków włoskich. Lecz dla naszych uszu wiersz Rydla nie dźwięczy pełnią harmonii językowej, wydaje się mdły, karmelkowy. Języki tzw. „miękkie" tęsknią do „twardości". Majakowski silił język rosyjski do trudnej w nim szorstkości, pragnąc wydobyć z dźwięcznych rosyjskich słów, jakby stworzonych do śpiewu kołysanek, wyraz energii i brutalnej siły.

Ponieważ cudzoziemiec stosuje inne, niż my, normy dźwięczności, normy własnego języka, nie potrafi ocenić właściwie tego, co my nazywamy pięknym dzwiękiem w polszczyźnie. (Nie tylko w polszczyźnie. Francuz nie oceni właściwie bogactwa dźwiękowego języka madziarskiego, a Madziar bułgarskiego). Jakiś Włoch zżymał się, nie mogąc wymówić słowa „szczęście" — jakżeż można rzecz tak błogą jak „felicità" nazywać tak okropnie: „cze-cze". Dla nas jednak „szczęście" brzmi pięknie — czy tylko dlatego, że tak właśnie brzmi?

Peiper stwierdził, że dźwięczność słowa zależy od jego znaczenia, a więc „szczęście" dlatego wydaje się miłe uchu, że te dwie szeleszczące sylaby oznaczają rzecz miłą. Nie wydaje mi się to słuszne. Oczywiście sens słowa nastraja przychylnie lub niechętnie i ucho, ale nie to ucho fizyczne, przyjmujące fale powietrza, lecz ucho czytającego bezgłośnie. Takiemu półgłuchemu uchu łatwo nie dostrzec szorstkości i poddać się jedynie działaniu znaczenia słowa.

Poszczególne słowo — to część mowy; wyraz dźwiękowy części mowy, tj. wrażenie słuchowe, jakie ona czyni, nie zależy tylko od niej samej, od części, ale od — całości. O tym, czy jakieś słowo brzmi miło, nie decyduje ono samo, lecz **zestrój słów w wierszu**, ich tok tak harmonijny, że najtrudniejszy „chrząszcz w trzcinie" staje się w tej pełni dźwiękowej utworu nieodzowny. Sprawy te mało są zbadane, ale chwyta je nieomylne ucho poety. Słyszał je w wierszach „Pana Tadeusza" autor „Balladyny", gdy, krytykując poezje Bohdana Zaleskiego, przeciwstawił ubóstwu językowemu „wieszcza Ukrainy" harmonię mickiewiczowskiego opisu stawów soplicowskich.

*

W sprawozdaniach krytycznych mówi się często o muzyczności, dźwięczności, melodyjności wiersza, dodaje się do tych rzeczowników prawie że stałe epitety — urzekająca, czarująca, nastrojowa muzyczność, dźwięczność itd. Tak piszą zazwyczaj recenzenci, których muzykalność nie sięga poza muzykę taneczną i piosenkę. Ale tak słyszą wiersz nie tylko oni. Któryś z fonologów, badaczy struktury dźwiękowej wiersza, sprowadził różnicę między mową wiązaną a niewiązaną do przyjemności, jaką daje pewna szczególna łatwość następstwa słów w wierszu, a więc do tego, że język przyjemnie „bawi zęby trzonowe..." Prawie zawsze tę „urzekającą muzyczność" przypisuje się wierszom regularnym, kołyszącym słuch w kolebkach strofek; „czarującą melodyjność" słyszą recenzenci w niekończących się nawrotach rytmicznych tożsamości, a „sugestywną dźwięczność" łatwo posiąść, stosując ograne, skoczne lub potoczyste, a więc łatwo wpadające w ucho, monotonie, powtarzając te same sylaby, robiąc onomatopeje itp.

Nikt chyba nie zaprzeczy, że muzyczność, melodyjność itp. wiersza zależy od pewnych elementów muzycznych. Że więc, jeśli chodzi o wiersz współczesny, muzyczność winna być muzycznością wynikającą z muzyki współczesnej. **Cóż**

---

*) **Wiem, oczywiście, że Kochanowski nie był wynalazcą makaronizmu, że szedł w ślady Włochów.**

PIERWSZY KONKURS LITERACKI

DLA CZYTELNIKÓW »ODRODZENIA«

NA TEMAT

KTÓRĄ KSIĄŻKĘ DWULECIA 1945—1946 UWAŻAM ZA NAJLEPSZĄ!

UCZESTNICY KONKURSU PROSZENI SĄ O WYMIENIENIE JEDNEJ, DWU, NIE WIĘCEJ JEDNAK NIŻ TRZECH KSIĄŻEK POLSKICH, WYDANYCH W LATACH 1945—1946, KTÓRE UWAŻAJĄ ZA NAJWYBITNIEJSZE.

JAKKOLWIEK NIE STANOWI TO WARUNKU UDZIAŁU W KONKURSIE, NADESŁANIE MNIEJ LUB WIĘCEJ OBSZERNEJ WYPOWIEDZI UZASADNIAJĄCEJ DOKONANY WYBÓR JEST JEDNAK POŻĄDANE. NAJCIEKAWSZE, NAJTRAFNIEJSZE CZY TEŻ NAJORYGINALNIEJSZE WYPOWIEDZI OPUBLIKOWANE ZOSTANĄ NA ŁAMACH „ODRODZENIA".

POMIĘDZY UCZESTNIKÓW KONKURSU, KTÓRZY WYMIENIĄ PRZYNAJMNIEJ JEDNĄ Z TRZECH KSIĄŻEK, JAKIE OTRZYMAJĄ NAJWIĘKSZĄ ILOŚĆ GŁOSÓW, ROZLOSOWANYCH ZOSTANIE

100 KSIĄŻEK OGÓLNEJ WARTOŚCI OK. **40.000 ZŁ.**

POMIĘDZY TYCH UCZESTNIKÓW KONKURSU, KTÓRZY WYMIENIĄ WSZYSTKIE TRZY KSIĄŻKI O MAKSYMALNEJ ILOŚCI GŁOSÓW, ROZLOSOWANE ZOSTANĄ

TRZY NAGRODY PIENIĘŻNE

PIERWSZA — 10.000 ZŁ.
DRUGA — 6.000 „
TRZECIA — 4.000 „

ODPOWIEDZI (WRAZ Z EWENTUALNYMI WYPOWIEDZIAMI UZASADNIAJĄCYMI WYBÓR) NADSYŁAĆ NALEŻY Z KUPONEM ZAMIESZCZONYM W NINIEJSZYM NUMERZE „ODRODZENIA" W KOPERCIE ZAADRESOWANEJ: REDAKCJA „ODRODZENIA", KONKURS LITERACKI, KRAKÓW, BASZTOWA 15. m. 8. IMIĘ I NAZWISKO ORAZ DANE DOTYCZĄCE WIEKU, ZAWODU, ADRESU UCZESTNIKA KONKURSU ZAWIERAĆ POWINNA ZAŁĄCZONA ODDZIELNA KOPERTA, ZAKLEJONA I OPATRZONA GODŁEM.

TERMIN NADSYŁANIA ODPOWIEDZI UPŁYWA Z DNIEM 15 LUTEGO 1947.

W WYPADKACH WĄTPLIWYCH ROZSTRZYGA DATA STEMPLA POCZTOWEGO.

prostszego i właściwszego—niż słuchać muzyki współczesnego wiersza uchem wykształconym na współczesnej muzyce? Muzyce, która dla ucha jest ciągłą niespodzianką, grą zmiennych, odległych analogij — na muzyce najbardziej odległej od nawrotów i powtórzeń, od staroświeckiej rozlewności motywów? Nie, zacofańcy za ideał muzyczności w wierszu uznają poczucie muzyki z epoki Gomółki. To prawda, że wiersz rodził się ze śpiewem, że był dawniej śpiewany, był pieśnią. Melodia ułożona dla jednej zwrotki służyła całemu utworowi, niosąc się poprzez wszystkie takie same rytmiczne nawroty. Tak skomponował Gomółka muzykę do „Psalmów" Kochanowskiego. Lecz o tym bliźniaczym pokrewieństwie pieśni i wiersza dawno już zapomniano. Pokrewieństwo, analogia między poezją a muzyką stała się odleglejsza i mniej mechaniczna; wiersza się już nie śpiewa, brzdąkając na lutni. Poeta, jeśli jest muzykalny, układa wiersz zgodnie z muzykalnym poczuciem swojego czasu.

Jak wygląda współczesna kompozycja pieśniarska? „Pieśń" w muzyce współczesnej nie powtarza swoich cząstek, jest muzyką szeroką na cały poemat, a nie tylko na jedną zwrotkę. Pieśń muzyczna — to nie dansingowa piosenka, a poezja — to nie nastrojowy skecz kabaretowy. Nie wzywajmy na daremno wielkiego imienia muzyki tam, gdzie brzęczy lutnia lub trajkocze katarynka. Muzyczność, nowoczesna muzyczność wiersza wynikać winna z odczucia nowoczesnej muzyki. Musi więc być inna niż melodyjność wiersza osiemnastowiecznego czy wiersza romantycznego. Wiersz nowoczesny winien dźwięczęć analogiami do muzycznych kompozycyj Szymanowskiego i Palestra.

Iulian Przyboś

STEFAN SZUMAN

Książka o psychologii małp*)

Ze wszystkich zwierząt małpy są już z wyglądu do człowieka najpodobniejsze — wyznajmy szczerze: są one do nas „nieprzyjemnie" podobne! Na podobieństwach już nie powierzchownych, ale na istotnym podobieństwie budowy organizmu małpiego i człowieczego opiera się naukowa teoria genetycznego pokrewieństwa małp człekokształtnych i człowieka. Istnieje w końcu jeszcze jeden rodzaj podobieństwa, a mianowicie: podobieństwo psychiczne. Na ten fakt zwróciła nauka szczególną uwagę od czasu badań Köhlera (1916), który wykazał, że niektóre rodzaje małp (szympansy w jego doświadczeniach) rozwiązują zadania wymagające czegoś w rodzaju inteligencji. Małpy byłyby zatem zwierzętami pod względem rozwoju umysłowego do człowieka najbardziej zbliżonymi. Dalsze badania nad psychologią małp podjęli w ostatnich dziesięcioleciach liczni uczeni. Rezultaty tych badań pozwalają nam w sposób już dosyć dokładny zdać sobie sprawę ze zdolności umysłowych oraz z życia uczuciowego i społecznego małp człekokształtnych, a więc goryla, szympansa i orangutana. Książka prof. Dembowskiego streszcza w sposób jasny i przejrzysty wyniki tych badań i rozwija przed czytelnikiem syntetyczny obraz zagadnienia.

Pod względem budowy ciała małpy przypominają człowieka szczególnie przez to, że posiadają ręce i że ich mózg zbudowany jest podobnie. Człowiek zawdzięcza swój rozwój umysłowy trzem czynnikom: rękom, dużemu i w zakresie odcinka korowego szczególnie rozbudowanemu mózgowi oraz mowie.

Ręce małp człekokształtnych są jeszcze na wpół nogami, służącymi do wspinania się na drzewa. Ręce małpy służą też do chwytania przedmiotów, a także do manipulacji, tj. do bawienia się przedmiotami i do ewentualnego posługiwania się nimi. Ale między mózgiem małpy a jej rękami nie nastąpiła jeszcze ta współpraca, jaka się dokonała w rozwoju człowieka: małpy nie umiały wynaleźć narzędzi i maszyn, które przedłużają ręce i nie tylko wyręczają je w pracy, ale wykonują zadania podobne — o wiele lepiej. W specjalnych warunkach doświadczalnych „inteligentne" małpy człekokształtne uczą się jednak posługiwać prostymi narzędziami i osiągają cele nieosiągalne bez ich pomocy. Köhler pierwszy wykazał, że małpy w potrzebie samodzielnie wpadają na pomysł stosowania narzędzi; gdy są głodne, chwytają np. za kij, aby przyciągnąć owoc leżący poza kratami klatki, stawiają kilka pustych skrzyń, jedna na drugą, by się dostać do owocu, który zbyt wysoko zwisa z dachu ich klatki, itp. Małpy zaczynają niekiedy jakby rozumieć, do czego służy proste narzędzie. To rozumienie stanu rzeczy jest jakby pierwszym przebłyskiem inteligencji. Ale małpy nie wynajdują i nie fabrykują narzędzi, sprzętów i maszyn, podczas gdy cywilizacja człowieka opiera się na wynalazkach technicznych. Każdy człowiek m. i. dlatego od dziecka uczy się myśleć, że posługuje się rozumnie narzędziami.

W porównaniu z innymi zwierzętami małpy mają mózg z lepiej rozbudowaną korą. W porównaniu jednak z człowiekiem mózg małp jest bardzo mały i niedostatecznie ukształtowany. „Minimum tkanki mózgowej, która daje możność człowiekowi osiągnięcia normalnego rozwoju psychicznego (około 1000 gr.), jest przeszło dwa razy większe od maksymalnego ciężaru mózgu małpy człekokształtnej". Człowiek ma więc bez porównania lepsze warunki organiczno-nerwowe dla rozwoju swej psychiki.

Jeżeli chodzi o mowę, to każde normalne dziecko w drugim (a najpóźniej w trzecim) roku życia uczy się mówić. Małpy mają co prawda też swoją mowę, tzn. wydają dźwięki wywołujące określone reakcje u innych małp. Ilość takich „wyrazów" u małp jest nawet dosyć duża. Ale małp nie można nauczyć mówić „po ludzku", mimo że przez tresurę uczymy je rozumieć wiele wyrazów mowy ludzkiej. Umysł małpy nie potrafi bowiem pojąć istoty mowy ludzkiej, która jest „członowana, wskazująca, konwencjonalna, intencjonalna i zdolna do przegrupowań wyrazów z nowym sensem... Mowa zwierząt jest zawsze tylko mową okrzyków lub haseł, ale nigdy mową wiązaną, wyrażającą związki i stosunki jak u człowieka". W rozwoju umysłowym każdego człowieka mowa jest czynnikiem niezmiernie ważnym. Rozwój psychiczny człowieka (pomijając szczególnie korzystne warunki, jakie stwarza rozbudowa centralnego systemu nerwowego) jest produktem kultury, przekazywanej przez tradycję z pokolenia na pokolenie. Istota, która nie posiada zdolności nauczenia się mowy ludzkiej, nie może rywalizować z nim w rozwoju psychicznym. Toteż, według zdania badaczy, małpy człekokształtne można przy najlepszych wysiłkach pedagogicznych doprowadzić do szczebla rozwoju umysłowego dziecka dwu lub trzyletniego. Na tym szczeblu rozwój umysłowy małpy się zatrzymuje, bo „świat pojęć ogólnych, abstrakcji, pojęć rodzajowych, stosunków i zależności, na czym budujemy nasz światopogląd, jest dla zwierząt niedostępny".

Okres dziecięcy i młodzieńczy, a zatem okres, w którym się człowiek rozwija przede wszystkim umysłowo, jest u małp stosunkowo bardzo krótki, ale — rzecz ciekawa — jest u małp tym dłuższy im rodzaj, do którego należą, jest wyżej uorganizowany.

Prof. Dembowski referuje m. i. wyniki badań psychologicznych nad dzieciństwem małp. Porównanie wieku dziecięcego małp i ludzi jest niezmiernie pouczające i ciekawe. Pod względem motorycznym rozwija się np. małpa zupełnie podobnie jak niemowlę, tylko o wiele prędzej. Jeden z badaczy amerykańskich obserwował małpę i własne dziecko przez 9 miesięcy. Małpę wychowywano podobnie jak dziecko; w chwili rozpoczęcia eksperymentu małpa miała 7,5, a dziecko 10,5 miesięcy. Pod wielu względami małpa zachowywała się i rozwijała podobnie jak dziecko.

Końcowy rozdział książki zawiera dużo ciekawych danych z zakresu życia społecznego małp. Obserwacje badaczy z tego zakresu mogą być interesujące dla socjologów, zastanawiających się nad formami prymitywnych ugrupowań społeczności ludzkiej.

„Psychologia małp" prof. Dembowskiego jest bardzo pożyteczną książką jako podręcznik z zakresu psychologii, bo porównanie psychologii ludzkiej z psychologią zwierząt, a zwłaszcza małp, jest szczególnie pouczające dla studenta psychologii i pedagogiki. Książka ta znajdzie na pewno licznych czytelników także wśród osób, które po prostu będą chciały się zorientować w aktualnym zagadnieniu: co w rezultacie nauka stwierdza, jeżeli chodzi o psychikę małp w porównaniu z psychiką człowieka?

W przedmowie do swojej książki prof. Dembowski rozpatruje sumiennie sprawę, na którą też zwróciłem uwagę w sprawozdaniu z jego „Psychologii zwierząt". Autor stwierdza mianowicie, że zoopsycholog nie powinien się nastawiać na badanie zwierząt jednostronnie, jakby to były po prostu „mechanizmy" i „żywe automaty", i że nie wolno mu także „antropomorfizować" psychiki badanych zwierząt. Teza autora (sformułowana w tejże przedmowie) nie rozwiązuje jednak zdaniem moim trudności, z których autor zdaje sobie sprawę. Teza ta brzmi: „nie ulega wątpliwości, że w organizmie nie ma nic prócz materii i działających w niej sił, nie istnieje ani „materia żywa", ani „siła życiowa". Są to mrzonki ubiegłego stulecia". Zgadzam się z autorem, że nie posuwamy naprzód naszej wiedzy o życiu mówiąc o „siłach życiowych" i o materii specjalnego rodzaju, jaką miałaby być „materia żywa".

Gdy jest jednak mowa o życiu psychicznym — a tym właśnie zajmuje się przecież książka autora — to nie należy zapominać o zjawiskach świadomości, które są istotnym jego momentem. W żywych organizmach zwierzęcych, a szczególnie w organizmach takich zwierząt jak małpy, „jest" jeszcze coś, z czym autor nie chce się liczyć — by nie popaść w antropomorfizm? — a mianowicie jest: świadomość świata i świadomość siebie. W jednym z rozdziałów autor opisuje obszernie i bardzo wyraziście życie uczuciowe małp; ale w przedmowie zajmuje stanowisko, że należy się zajmować w nauce (która nazywa się psychologią) tylko zachowaniem się zwierząt. Otóż, że małpy coś czują i przeżywają, to wiemy tylko z ich zachowania się (szczególnie z mimiki). Niemniej musimy stwierdzić, że przeżywają one na pewno różne stany psychiczne w różnych sytuacjach i okolicznościach. A to właśnie jest istotne w psychologii, że dąży ona również do zrozumienia przeżyć towarzyszących różnym czynom zwierząt i ludzi, a nie ogranicza się do samego opisu postępowania.

Autor stwierdza m. i. w swej przedmowie, że „psychiki człowieka nie można jasno zrozumieć bez znajomości tych pierwocin, z których wywodzi się cała nasza istota ludzka". Psychologia małp rzuca niewątpliwie światło na psychogenezę umysłu ludzkiego w sposób zupełnie podobny, jak psychologia niemowląt i małych dzieci pozwala dopiero zrozumieć ukształtowanie się psychiki dorosłych. Psychologię małych dzieci pod względem metodycznym uprawiamy behawiorystycznie tak, jak psychologię zwierząt; niemniej byłoby absurdem twierdzić, że małe dziecko nie przeżywa różnych stanów uczuciowych, afektów i chceń popędowych, i że nie żyje „psychicznie" właśnie swoimi przeżyciami, wyobrażeniami i myślami. Umiejętne opisy przeżyciowych stanów psychicznych u małp nie są bynajmniej antropomorfizacją. „Chcąc porównać zwierzę z człowiekiem — pisze autor — musimy potrafić odnaleźć pierwotne zwierzęce cechy człowieka". Otóż prymitywne, emocjonalne, spostrzegawcze i umysłowe przeżycia człowieka są właśnie podobne do tych, jakie występują u zwierząt, a szczególnie u małp, i to właśnie jest nie mniej godne uwagi niż podobieństwo budowy ciała i postępowania w podobnych sytuacjach.

Powiedziałem na wstępie, że małpy robią na człowieku intuicyjnie wrażenie istot bardzo do niego podobnych, ale jakoś „nieprzyjemnie" do niego podobnych. Otóż małpa jest (estetycznie) jako zwierzę niewątpliwie ładna, ale w porównaniu z ideałem piękności ludzkiej — jakby brzydką jego karykaturą (długie ręce, niskie czoło, pochylona postawa — jakby zgarbiona, owłosienie, itd.). Ludzie pod względem tych cech do małp podobni — a są tacy — nie są piękni!

Ale małpa, w naszym intuicyjnym przeżyciu, jest też psychicznie — jakby naszą karykaturą. Jest ona bowiem co prawda pod względem umysłowym ciekawa (można by rzec: wścibska), naśladująca (mówimy: małpująca), bystra, podpatrująca, przemyślna i na swój sposób „inteligentna" — ale przy tym niespokojna, hałaśliwa, kłótliwa i często złośliwa, erotycznie bardzo rozbudzona i naiwnie „bezwstydna", żarłoczna (można by rzec: chciwa), nieporządna. Małpy są bardzo do człowieka podobne, ale podobne do jakiegoś człowieka, który nim się jeszcze w pełni nie stał. Małpy robią wrażenie jakby dzieci bardzo źle wychowywanych, rozpuszczonych, umysłowo niedorozwiniętych a rozwydrzonych. Opis małp w „Księgach dżungli" Kiplinga jest moim zdaniem — mimo antropomorfizacji powieściowej — opisem psychologicznym w zasadzie trafnym i artystycznie genialnym.

Uderzające podobieństwo małp do człowieka jest dla nas niewątpliwie przykre. Godność ludzka czuje się jakby urażona, gdy nam nauka wykazuje to pokrewieństwo i podobieństwo. Jestem osobiście przekonany, że nauka się nie myli twierdząc, iż człowiek, jako zwierzę z gatunku zwierząt ssących, jest istotą najbardziej w swej budowie zbliżoną do małp człekokształtnych i że te zwierzęta są mu jakoś pokrewne. Sądzę jednak, że dyskusja naukowa nad istotą pokrewieństwa tych podobnych organizmów nie jest zamknięta.

Ponad przyrodę wyrasta człowiek dzięki kulturze. Człowiek uspołeczniony tworzy kulturę, a kultura też kształtuje i tworzy psychikę każdego poszczególnego człowieka. Tylko dzięki istnieniu kultury poszczególne jednostki ludzkie mogą osiągać poziom umysłowy współczesnego kulturalnego człowieka.

Czym jednak jest człowiek w porównaniu ze zwierzęciem, m. i. z małpą? Zdaje mi się, że człowiek różni się od zwierząt nie tylko tym, że posiada kulturę i cywilizację, i nie tylko tym, że jego poziom umysłowy jest o wiele wyższy. Trzeba pamiętać o tym, że dzięki rozwojowi swojego umysłu człowiek żyje w świecie zupełnie innym niż zwierzęta.

Człowiek jest bowiem — po pierwsze — jedyną istotą na świecie, dla której istnieje zagadnienie prawdy. Umysł człowieka dąży wytrwale ku coraz dokładniejszemu poznaniu rzeczywistości, a zgłębienie jej tajemnic jest niewątpliwie jednym z zasadniczych celów, jakie sobie stawia ludzkość. Prawda jest istotnym celem życia ludzkiego.

Człowiek jest — po drugie — tą istotą, która może sobie wyobrazić rzeczy lepsze, dobre a nawet doskonałe i porównywać je z tym, co jest. Człowiek może pracować nad tym, by jego marzenia, ideały i postulaty się spełniły i dlatego w świecie ludzkim istnieje zagadnienie postępu. Człowieka w jego rzeczywistości obowiązuje ideał postępu i bez tej idei nie ma w pełni uczłowieczonej psychiki. Człowiek albo doskonali i ulepsza świat wokoło siebie i siebie samego, albo też zaniedbuje jedno lub drugie. W rzeczywistości człowieka istnieją zagadnienia moralne.

Człowiek — po trzecie — tym się różni od zwierząt, że jest zdolny wykonywać czynności tzw. dowolne. Od jego własnej decyzji zależy to, co on czyni. Człowiek może kierować sam sobą i panować nad sobą i dlatego czuje się odpowiedzialny za to, co czyni. Zwierzęta w żadnej mierze nie są odpowiedzialne. Z poczuciem odpowiedzialności łączy się u człowieka poczucie autonomii osobniczej i wolności. Czując się wolnym w swoich poczynaniach i równocześnie odpowiedzialnym za swe czyny, człowiek żyje oczywiście w świecie w swej istocie zupełnie innym niż ten, w którym żyje zwierzę, spełniające impulsywnie i bez świadomości celu czynności instynktowe, które utrzymują je przy życiu.

Człowiek — w końcu — jest istotą, która świadomie szuka przyjemności i rozkoszy oraz zadowolenia własnych ambicyj i próżności (postawa hedonistyczna, egoizm itd.), ale też świadomie podejmuje trudy i naraża się na cierpienia dla osiągnięcia rzeczy pożytecznych lub dobrych. Człowiek jest zdolny do świadomej ofiary dla drugich i dla celów społecznych. Zdolność ofiary i zdolność przezwyciężenia samego siebie jest szczególnie istotną cechą psychiki ludzkiej.

Stefan Szuman

*) **Jan Dembowski.** Psychologia małp. (Łódź). „Książka", 1946; str. 271 i 1 nl.

Sześć nocy w Leszczynie

Na lewo był Wiśnicz, Bochnia, Tarnów. Na prawo leżał Łapanów, i dalej — Kraków. Zaśnieżonym gościńcem szli ludzie w grubych butach i rękawicach, jechały wozy, mijając na granicach wsi żółte tablice z wypisaną liczbą kilometrów: „Nach Bochnia 21 km", „Nach Krakau 44 km".

Dla nich te odległości były ważne. Nam i tak było wszystko jedno. Przy oknie, to zasłoniętym przez iskrzące smugi mrozu, to spotniałym od odwilży. siedzieliśmy biernie; bez butów, bezwładni, beznadziejni... To wszystko trwało już za długo.

Odgłosy kanonady za górami i na wschodzie odzywały się z rzadka i cichły raptownie. Ta cisza wydawała się chwilami nie do zniesienia. Nasza wieś Leszczyna trwała na grzbiecie podłużnego wzgórza, jak na garbie znieruchomiałego, rozpłaszczonego gada. Fałdy wzniesień i dolin płynęły równolegle koło nas w zmiennej grze świateł i cieni, w smugach śniegu i zrudziałych skib na zboczach. Ruchy ludzi były leniwe i konwencjonalne w swej powszedniości. I tylko niespokojne wietrzne niebo i serce szalejące z nadziei i trwogi wyczuwały jak sejsmograf podziemne drżenie materii, ten rytm, który w pewnej chwili zjednoczy nas z całym światem, zagarnie nas — odosobnionych i zmartwiałych — w krąg burzliwych i wielkich odmian.

W sobotę nic jeszcze nie zwiastowało tej odmiany. Spłakane i zawzięte kobiety szykowały jak co tydzień chleb i wędzonkę dla tych, co mieli jechać na nową zmianę do okopów pod Wiśnicz. Ze Trzciany przyjechał urzędnik, żeby tropić niekolczykowane świnie po oborach. „Krakauerka" przyszła przez Bochnię, jak zwykle pełna zwycięskich komunikatów, pogróżek i pychy. A w niedzielę rano zaczęła drżeć ziemia. Z początku nieuchwytnie, potem mocniej i wyraźniej, w takt strzałów armatnich, niosących się od Jasła, Grybowa, Gorlic... Powietrze także drżało. W końcu zaczęły dzwonić szyby i nagle skoczyły do gardła i nasze nieufne serca.

Ludzie wyszli przed chałupy i słuchali, osłaniając uszy dłońmi. Kto wie? A nocą przybyli do wsi pierwsi goście. Ci z lasu... Nie było to w Leszczynie nowością. Las był niedaleko. Nocne odwiedziny partyzantów odbywały się w sposób częsty i przyjacielski. Ale tej nocy biły nam serca mocniej niż zazwyczaj — gdy „leśni" szli w blasku księżyca od chaty do chaty, srebrząc się orłami na czapkach i szczękając bronią. Bez lęku stukali do wszystkich drzwi po kolei, żądając kontrybucji na odzież i broń. Chłopi milczeli, słysząc ich władczy ton. Dawali, stękając i skrobiąc się za uchem. Psy obudziły się i szczekały głośno, jakby wietrząc odmianę.

A rano wędrowny handlarz przyniósł wieść o rozpoczętej ofensywie. Cały dzień komentowano po chałupach komunikaty o przełamaniu frontu pod Baranowem i niemieckie przechwałki. W Bochni było jeszcze spokojnie i armaty od Tarnowa jak gdyby umilkły. A nocą z poniedziałku na wtorek zjawili się we wsi nowi goście. Tłumnie wysiedli z wozów, mocno stukali do okien. Mieli uszate czapki z futrzanym obramowaniem i gwiazdkę sowiecką, lotnicze kombinezony. Żądali chleba, wódki, butów, kożuchów, pieniędzy, ba — nawet koni... Trzeba im było wszystko dać — bo grozili, a groźbom ich wtórował odgłos wzmożonej kanonady.

Nazajutrz ludzie we wsi wstali niewyspani i skwaszeni. Ta rzekoma ofensywa zbyt mocno odbijała się na stanie ich posiadania — tu na zapleczu frontu wyglądała po prostu na rabunek. Tym bardziej, że trzeciej nocy zjawili się na drodze ludzie, którzy nie powoływali się na żadne organizacje, armie ani nawet przynależność narodową. Może po prostu bandyci? Nie legitymując się niczym, odkomenderowali gospodarzy stróżujących pod spichlerzem w Trzcianie i zabrali całe kontyngentowe zboże. „W tył zwrot!" Chłopi mają wracać do domu i nie interesować się zbytnio tym, co dzieje się nocami na drogach.

Co bogatsi kmiecie popadli w rozpacz. Wojna wojną, ale na co się tu zanosiło? Zasięgali języka w Bochni. Szli, bo to była środa, do Łapanowa na targ. Wszędzie było tak zwyczajnie i spokojnie, jak gdyby w każdej chwili mogli tu jeszcze nadjechać wszechwładni Niemcy z ekspedycją karną i żądać nowych z kolei kontrybucji.

A pod wieczór przemknęły gościńcem w pędzie wyładowane ludźmi auta. To władze niemieckie uciekały z Wiśnicza. Ludzie nie bardzo nawet wierzyli w prawdopodobieństwo tej raptownej ucieczki. Noc wydawała się cicha... Armaty umilkły. Wcześnie pozamykano drzwi i okiennice, pogaszono światła, by nie zwabiać nowych gości.

Przyszli mimo to, ale nie byli groźni tej czwartej nocy. Wystąpienie ich było próbą opieki, ostentacją praworządności. Jako delegacja niewiadomej a sprawiedliwej władzy badali charakter poprzednich najść, protokolarnie stwierdzali nadużycia.

Ludziom zaczęło się już w końcu mieszać w głowie od tych wizyt. Tym bardziej, że w czwartek już z samego rana dzieci przybiegły ze szkoły krzycząc, że od Królówki jadą Ukraińcy.

Popłoch ogarnął wieś. Pakowano pośpiesznie toboły, chowano po piwnicach łachy i graty, wyganiano bydło. Ale to wcale nie byli Ukraińcy, tylko po prostu Niemcy. Ich kuchnie polowe, podwody, zdezorganizowane tłumy żołnierzy zakorkowały cały wylot gościńca od strony Wiśnicza. Blady i spotniały kwatermistrz w białym kożuchu biegał po chałupach, rozmieszczając ludzi na nocleg. Pijany oficer zwalił się na łóżko w izbie i leżał, jęcząc i płacząc przez sen. Towarzysz jego, mizerny i zdenerwowany, siedział przy stole i narzekał na katar żołądka i na pośpiech. Omijał nas roztargnionym spojrzeniem, tłumacząc, że odwrót Niemców jest tylko chwilowy i że wrócą tu niebawem. Skwapliwie zapłacił za zamówione mleko i jajka i uspokajał nas, że nie ma żadnego powodu do obaw.

Noc szykowała się spokojna — front mógł być zatrzymany lada chwila. Było już zupełnie ciemno, kiedy na dziedzińcu wszczął się nagle ruch. Zatrąbiono na alarm. To przyszedł niespodziany rozkaz odwrotu. Oficer, który spał na łóżku, obudził się teraz. Okazało się, że nie był wcale pijany, był tylko zrozpaczony. Stanął przy oknie i zdziczałymi oczami patrzył w noc skłębioną od miotających się ciał ludzkich i końskich, metalicznych odwłoków maszyn.

Gdy odszedł z innymi, była już zupełna noc. W jej otchłaniach działy się rzeczy dziwne i przerażające. Eskadry samolotów szurały nisko nad dachami chałup. Łuny buchały na południu i wschodzie. Gościniec huczał tupotem i tętentem przechodzących wojsk. Pod rytm tego śpiesznego przemarszu ładowano po chałupach wozy do ucieczki, ryto doły na ukrycie dobytku, pośpiesznie pieczono chleb. Rano przeleciały mimo nas ciężkie pancerne auta jadące od Grybowa. Stali na nich żołnierze, jak żelazne automaty. Gdy zatrzymali się na krótko, by naprawić jakiś defekt w motorze, słychać było, jak warczą i szczekają niby zawzięte psy — o mostach, których nie zdążyli wysadzić, o minach nierozładowanych, o Wisłoku, Sanie i Skawinie...

W pogoni za nimi nadbiegły niebawem sowieckie myśliwce. Chaotyczny pozornie pościg eksplodował bombami ponad szeregiem chat, ciągnących się wzdłuż gościńca. Szaleństwo popłochu ogarnęło teraz wieś. O parę kilometrów płonęła Królówka w huku wystrzałów i walki wręcz. Tuż obok cztery chałupy paliły się żywo i raźnie wśród porożowiałych śniegów. Ratowano je niezręcznie — rozpacz i strach paraliżowały sprawność. Sąsiedzi biegali tu i tam po gościńcu, rozrzucając wśród opłotków stągwie i wiadra, pościel i przyodziewek. Lamentom pogorzelców wtórowały ryki osmalonych krów.

Chałupy szybko wypaliły się i dogasły. Teraz tylko paliło się od wielkiej zorzy niebo przedwieczorne nad sinymi śniegami. W jego różowym świetle szli znowu drogą niemieccy żołnierze — maruderzy wielkiej, cofającej się armii, wolno, słaniając się, utykając, wlokąc za sobą na saniach ciężko rannych. Pokrwawieni, obszarpani w swych białych, brudnych kożuchach wlekli się na zachód, jak wizja napoleońskiego odwrotu, jak korowód wynędzniałych widm. Samoloty już ich nie tropiły. Odleciały na zachód. Niebo było znowu ciche i mroczniało pogodnie. Fala popłochu opadła i ludzie, wyczerpani emocjami dnia, obsiedli kominy, wdychując łapczywie ciepły zapach piekącego się chleba i gotujących się ziemniaków.

I wtedy to, w chwili, gdy zapalono już lampę naftową nad kominem, załomotał znowu ktoś do okien i drzwi Raz, jeszcze raz, coraz mocniej. W popłochu ktoś zdmuchnął lampkę, ktoś inny poskoczył otworzyć. I nagle cała izba zaroiła się od postaci dotąd nieznanych, od szarych tułubów, „tiełogriejek" uszatych czap, płaskich kałmuckich i słowiańskich twarzy. „Zdrastwujtie! Giermanca u was nietu?" Zapytano ostrożnie. A potem ściskano nas za ręce, zwiastując z radością: „Kraków oswabażdżion! Warszawa wziata! Giermaniec uszoł nawsiehda!"

Dawaliśmy im chleb, kartofle, wódkę, wszystko, co było w domu — nie umieliśmy znaleźć wyrazu dla tego wielkiego zdumienia, że to się stało tak jakoś szybko i zwyczajnie, że oto są, że wraz z ich namacalnym wtargnięciem przeważa się w tej chwili szala naszej własnej historii. Brali, cośmy dawali i wybiegali w ciemność. W ślad za nimi nadbiegali inni, coraz nowi. Śnieżny gościniec był teraz pełen kłusujących czarnych postaci. Śniegi zaróżowiły się od ogni. Czerwona łuna objęła znów wschodnią stronę nieba. I teraz armaty odezwały się już bardzo blisko, ogłuszająco głośno, zwycięsko... Poznaliśmy, że to były „katiusze".

Jednak mimo tego nocnego najścia czołówek, mimo tego zdyszanego biegu wywiadowców przy melodii dział — baliśmy się jeszcze wierzyć...

Ale nocą zaczęły się toczyć po gościńcu czołgi. Ogromne. zgrzytliwe, wielopiętrowe, jak apokaliptyczne zwierzęta sunęły szeregiem, migając reflektorami. Jarzące ostrosłupy ich światła zdawały się wybijać przejścia w zaporze nocy.

Ten pochód morderczych maszyn znosił wyrok śmierci ciążący nad nami.

Na horyzontach szóstej nocy w Leszczynie świtał brzask wolności.

Hanna Mortkowicz-Olczakowa

Prusy przestały istnieć

Kto wziąłby do ręki mapę Europy, sporządzoną w końcu 1946 roku — na próżno by na niej szukał dwu słów: „Preussen" i „Koenigsberg". Na obszarze, który niegdyś w atlasach geograficznych nosił nazwę „Niemcy", znalazłby czternaście krajów: Meklemburgię, Brandenburgię, Sachsen-Anhalt i Saksonię, Turyngię, Bawarię, Hesję, Dolną Saksonię, Szlezwik, Holsztyn, Westfalię, Nadrenię, Württemberg-Baden i Württemberg-Hohenzollern i w końcu Baden. Znalazłby trzy miasta, nie wchodzące do żadnego z tych krajów: Hamburg, Bremę i Berlin. A na terenie litewskiej republiki radzieckiej, u ujścia P r e g o ł y, odszukałby miasto Kaliningrad. Ale kraj, który się nazywał Prusy, zniknął z atlasów geograficznych. Miasto zaś, niegdyś stolica królów pruskich, nosi dziś nazwisko tego, który stał na czele Związku Radzieckiego w okresie walki z duchem pruskim.

Prusy przestały istnieć i Królewca nie ma. Zniknęły dwa symbole niemieckiego imperializmu i dwa symbole polityki niemczenia ludów słowiańskich. Zniknęły — o tym nie wolno zapominać — ponieważ sprawił to Związek Radziecki. Wątpić należy, czy Anglosasi wykreśliliby tak łatwo z mapy nazwę Królewiec, czy podzieliliby Prusy na wiele krajów niemieckich, z których żaden nie nosi nazwy Prus. Stosunek do Prus i do idei pruskiej jest jeszcze jednym łącznikiem polskiej i radzieckiej polityki wobec Niemiec. A nie należy zapominać, że gloryfikacja Fryderyka pruskiego, zwanego Wielkim, była dziełem nie tylko Prusaków, uważających się za Niemców, ale również anglosaskiego pisarza tej miary, co Carlyle.

Słowianie rozumieli, czym są Prusy i rozumieli, że jak długo Prusy istnieją, nie może być mowy o demokratycznych Niemczech. Ale rozumieli to niejednokrotnie i Niemcy. Katolicki demokrata Constantin Frantz pisał po tryumfie Bismarcka, iż Prusy są obcym terenem kolonialnym, który swoim interesom podporządkował interesy niemieckie. Protestancko-mieszczański demokrata niemiecki i przeciwnik Polski — Max Weber — pisał już w roku 1895, że jeśli ewolucja stosunków demograficzno-gospodarczych na wschodzie Niemiec nie ulegnie zmianie, to polski robotnik rolny i polski chłop wypierać będą coraz bardziej żywioł niemiecki na wschodzie Rzeszy. W roku zaś 1917: „Sprawa polska sięga u nas aż do bram stolicy Rzeszy... Powtarzam, Polacy sięgają aż do bram Berlina". Nie państwo polskie było dla niego groźbą, ale żywioł polski, którego siłę, na trzydzieści lat naprzód, widział tam dokąd dziś doszedł. A tragiczny twórca pierwszej demokracji niemieckiej, Hugo Preuss, uzasadniając swój pierwszy projekt konstytucji Rzeszy w r. 1919, mówił: „Zniknięcie pruskiej hegemonii w Rzeszy jest niemożliwe bez zniknięcia państwa pruskiego... Odciąży ono korzystnie tak trudną międzynarodową sytuację Rzeszy. Utrzymanie Prus jako jednolitego państwa jest jedyną szansą monarchistycznej reakcji w Niemczech..." Rozumował trafnie, że dla demokracji niemieckiej Prusy są niebezpieczeństwem wewnętrznym, dla Europy niebezpieczeństwem międzynarodowym; że demokracja niemiecka i pokój międzynarodowy będą tak długo zagrożone, jak długo istnieją Prusy. Rozumieli to także przeciwnicy. Ówczesny — socjalistyczny — rząd pruski podniósł od razu, że tylko istnienie Prus „umożliwi na wschodzie stworzenie wału przeciw fali słowiańskiej i rzeczywistą germanizację wschodnich prowincyj".

Likwidacja Prus jest w interesie zarówno pokoju jak i pacyfikacji wzajemnych stosunków niemiecko-słowiańskich. Ustrój przyszłych Niemiec jest dotąd niewiadomą. Między projektem konstytucyjnym Zjednoczonych Socjalistów strefy radzieckiej (SED) a projektami konstytucyjnymi strefy amerykańskiej jest szeroka rozpiętość. Ale i w nich widać wspólną cechę. SED domaga się silnego centralnego parlamentu, jako naczelnej władzy w Niemczech — ale znacznej samodzielności krajów wchodzących w skład przyszłej Rzeszy. W strefie amerykańskiej przeważają tendencje bardzo daleko posuniętego federalizmu, tak że się nie przewiduje nawet bezpośrednio przez ludność wybieranego parlamentu, lecz wspólny organ złożony z delegatów rządów lub parlamentów krajowych. Ale tu i tam nie chce się państwa jednolitego. Skala koncepcji niemieckich — to skala od bardzo szerokiej decentralizacji do bardzo luźnego federalizmu, ale wszystkie wykluczają centralizm, wszystkie uznają kraje Rzeszy za jednostki o co najmniej szerokiej autonomii i samorządzie. Jeśli zaś kraje — to jednym z nich nie mogą być Prusy, to Prusy muszą być rozbite na wiele krajów, a raczej — dokonane już ich rozbicie musi się stać trwałą cechą ustroju Rzeszy. Prusy przestały istnieć. Prusy nie mogą się odrodzić. I Berlin nie może być stolicą Rzeszy.

Zagadnienie wewnętrznego ustroju Niemiec rozpatrywane będzie na konferencji londyńskiej, potem na konferencji moskiewskiej. Zagadnienie to trudne i drażliwe. Nie można narzucić Niemcom ustroju, bo to otworzy drogę wewnętrznej propagandzie przeciw „dyktatowi" — ale czy można już dziś pozwolić Niemcom na samodzielne tworzenie ustroju, skoro od lat dwudziestu żyli w atmosferze dyktatury, a własnej, przez siebie stworzonej demokracji nie umieli obronić; skoro demokraci byli w Niemczech zawsze mniejszością? Nie można stworzyć Niemiec tak rozbitych wewnętrznie, by były czynnikiem wprowadzającym chaos, nie można więc wracać do tak drogiego niektórym Francuzom mitu traktatu westfalskiego. — Ale nie można pozwolić, by wewnętrzny ustrój Niemiec stworzył militarnie zdyscyplinowane państwo i społeczeństwo — groźbę dla pokoju. Nie można pozwolić Niemcom rządzić się bez kontroli zwycięzców, czy ONZ, ale nie można też tej kontroli ubierać w formę ułatwiającą propagandę o „niewoli" Niemiec.

Wydaje się, że tylko utrzymanie Niemiec jako całości, ale równocześnie rozbicie ich na większą ilość, możliwie równych, jednostek regionalnych, o szerokiej autonomii, da rozwiązanie szczęśliwe. Wydaje się, że stworzenie centralnego, z woli ludności pochodzącego parlamentu — bez oddzielnej głowy państwa, będącej także reprezentantem ogółu, pozwoli uniknąć mitu genialnej jednostki: wszak nawet dziecinniejący starzec, który przegrał wojnę, Hindenburg, jest mitem, choć nie było po temu obiektywnych przyczyn.

Wydaje się, że tylko kontrola czynnika międzynarodowego zapewni bezpieczeństwo światu. Wydaje się również, że obok rządu niemieckiego długo jeszcze będzie musiał istnieć rząd okupanta i że każdy okupant w swojej strefie będzie musiał sam oceniać, czy i co można przekazywać organom niemieckim — stopień dojrzałości różnych ziem Niemiec do demokracji jest różny i tylko ten, w którego rękach spoczywa kierownictwo demokratyzacji Niemiec, może osądzić, czy i jaki postęp osiągnęła ta demokratyzacja. Jednak podstawą demokratyzacji i pacyfikacji Niemiec jest likwidacja symbolów rewanżu. A tymi mogą się stać: Prusy — kraj, który był zawsze ostoją imperializmu niemieckiego. I jednostka, która by się mogła stać symbolem „walki" Niemiec — jedna osoba jako głowa państwa.

Konstanty Grzybowski

W poprzednim 2 (111) numerze „Odrodzenia" z dnia 12 stycznia 1947 r.: **Franciszek Gil:** Rozważania szczecińskie. — Pierwszy konkurs literacki dla czytelników „Odrodzenia". — **Stanisław Helsztyński:** Dziewięćdziesięciolecie G. B. Shawa. — **Józef Miłobędzki:** Epitaphium na śmierć H. L. — **Ksawery Pruszyński:** Podróż po nowej Polsce (3). Wrócili, aby odejść. — **Jacek Frühling:** Pamiętniki von Giseviusa. — **Stefan Papée:** Sieroty w pałacu Potockich. — **Krystyna Kuliczkowska:** Na drogach teatru ludowego. — **J. A. Szczepański:** Teatralne próby odwagi. — **Tadeusz Peiper:** Stefana Flukowskiego „Soczewica..." — **Stanisław Ostoja-Chrostowski:** Wystawa współczesnej grafiki polskiej w Moskwie 1946. — **Helena Miller-Csorbowa:** Uchodźcy polscy na Węgrzech. — **Wiktor Hahn:** Władysław Nehring. W 60 rocznicę wydania pracy o starodawnych zabytkach języka polskiego. — **jap:** O literaturze dla młodzieży. — **Józef Sieradzki:** Warszawska anegdota wojenna. — **kjw:** Szkoła krytyków. Przepowiednia noworoczna. — **Piotr Kruszewski:** Propaganda i koncerty. — **Jan M. Nowak:** Życie w USA. — **Jaszcz:** Przegląd prasy. — Tydzień bibliograficzny. — Korespondencja (**Zbigniew Danielak**). — W pracowniach pisarzy i uczonych. Ankieta „Odrodzenia" (**Władysław Witwicki**). — **Wiktor Raysman:** Hiroshima. — **Stefan Papée:** Wśród książek. — „Uczeń diabła" w Warszawie. — **jk:** C'est incroyable. — **Stefania Łobaczewska:** Życie muzyczne w Krakowie. — **Artur Sandauer:** Przyczynki do erystyki. — Kronika ilustrowana. — **Marian Promiński:** Kronika filmowa. — „Panna Maliczewska" we Wrocławiu. — 9 ilustracji. — 12 stron.

TADEUSZ PEIPER

„Wielki człowiek do małych interesów"

I

Tyle tylko złożył Fredro w postacie tej komedii, ile trzeba dla zarysowania ich typowości, ani trochę więcej, ale i to wystarcza, aby aktorzy mogli dać im interesujące życie sceniczne. W krakowskim teatrze im. Słowackiego nie dali go.

Pomińmy ubogą rolę Anieli, z której p. Śląska w kilku momentach finezyjnie wydobywa więcej, niż ona zawiera, pomińmy łatwe role Karola i Leona, których nieporadni wykonawcy wcale nie są godni uwag krytycznych, zwróćmy się ku zjawiskom zasługującym na uwagę.

W Jenialkiewiczu notuje Fredro nałóg badawczego wpatrywania się w ludzi i nałóg wypowiadania się gestami *wyprzedzającymi* słowa, do których należą. Jednym i drugim posługuje się wielki człowiek do małych interesów dla przybierania póz wielkości, dla udawania żądz badawczych, dla pyszałkowatego przygotowywania rozmówcy na „genialne" myśli lub czyny, o których ma być za chwilę poinformowany. Ten rys, znakomity psychologicznie, jest także znakomitą wartością sceniczną, bo w najbardziej organicznej łączności z postacią wprowadza — jako jej wyraz — bogaty język ruchów. Te to ruchy udawanej wielkości mogą rzucać najbardziej zwycięskie bomby komizmu, stanowią najcenniejszy składnik roli, ale — ponieważ autor nie określa ich wcale — wymagają współtworzenia z autorem, a współtwórczość oprzeć się musi na obserwacji i inwencji, których wynikiem musi być prawda wymyślnie uformowana. Całą tę sprawę zaniedbał p. Ruszkowski doszczętnie i Jenialkiewiczem jest dopiero w ostatnim wystąpieniu, kiedy „wielki" człowiek traci na kilka chwil poczucie swej wielkości.

Cóż jest najbardziej istotne w Dolskim? Różne właściwości, jakie w nim znajdujemy, i różne sądy, jakie o nim słyszymy, wcale nie tak łatwo dają się sprowadzić do jednolitych rysów typu. Z charakterystycznych uzewnętrznień Dolskiego nasuwają się uwadze przede wszystkim dwie tonacje, w jakich wypowiada te same słowa bezpośrednio po sobie; ledwie z zapałem wyrzuci ze siebie: „Dobrze pani robisz", natychmiast poprawia się i to samo „Dobrze pani robisz" wypowiada w tonacji spokoju; ledwie służącemu krzyknie z gniewem: „Zaraz, zaraz!", natychmiast zamienia gniew na łagodność: „Zaraz mój kochany". Z jakiego typu ludzkiego pochodzą te poprawki? Dolski jest w utworze jedyną postacią, w którą Fredro wniósł przeszłość, ściślej: przeszłość określającą charakter; Dolski miał pojedynek z najlepszym przyjacielem, zranił go i uczynił kaleką. Podłożem zatargu była porywczość Dolskiego. Tragiczny w skutkach pojedynek pozostawił w zwycięzcy uraz tak silny, że teraz opanowuje każdy swój wybuch i, gdy wyrwą mu się słowa uniesienia, natychmiast je poprawia. Jego uraz czyni go przesadnie ugrzecznionym i nęka go niepokojem, czy grzeczność jego jest wystarczająca. Ale w kierunku opanowywania się działa w nim jeszcze inny motyw: przekonanie, że szczere uczucie unika głośnych słów, że głęboko ukrywa się w sercu. Z tego przekonania wyciąga Dolski konsekwencje dla swego sposobu bycia i to sprawia, że brany jest przez niektórych ludzi swego otoczenia za mistrza niezgłębionych tajemnic, za zarozumiałego, nawet za ironicznego. Taka jest struktura tej postaci. Dla *wszystkich* jej właściwości najistotniejszymi siłami psychicznymi są więc: porywczość i opanowanie porywczości, uczuciowość i zahamowania w wypowiadaniu uczuć. Gry tych sił psychicznych nie uwzględnił p. Kaliszewski w swej kreacji. Miał jednak niejeden moment wnikliwy, a wybuchowemu wyzwoleniu gniewu w akcie IV przyznać należy ukształtowanie znakomite.

Matylda jest amazonką nie tylko z konnego stroju, jest nią także z psychiki. Na tym podłożu wyrasta jej niezależność, na tym podłożu idee emancypacji kobiecej wykiełkowały w projekt przeprowadzenia reformy „socjalnej" mającej dać kobietom prawo... wybierania sobie taneczników i mężów. Matylda jest emancypantką ziemiańskich dworków. Nie ma tego w ujęciu p. Matusiakówny, która zbyt często posługuje się kobietkowatością i, jak zwykle, nadużywa uroków swego śmiechu.

II

Reżyseria p. Niewiarowicza miesza nieprzetrawioną tradycję z nieprzetrawionym modernizmem.

Mechanizacyjny komizm pracowników biurowych, przejęty z nowoczesnej groteski, obcy jest reszcie przedstawienia.

W partiach traktowanych tradycyjnie — wiele sytuacyj zniekształconych lub niedokształconych. Karol, wynurzając się ze swych myśliwskich radości, opowiada jak w polowaniu na bekasy postępuje za psem; Matylda, zagniewana na niego, że nie towarzyszył jej w konnej przejażdżce, podejmuje jego wzmiankę o psim aporcie i poprzez rozkaz „do nogi!", skierowany pośrednio do młodzieńca, którego chciałaby skłonić do uległości, wyraża teraźniejszy moment swojego stosunku do niego, a zarazem swe ogólne pragnienie komenderowania, panowania. Sytuacja ta, znakomicie przez Fredrę pomyślana, bo znakomicie charakteryzująca Matyldę, w przedstawieniu scenicznie nie istnieje.

III

Kwestia powiedzeń „na stronie" wymaga rozważań ogólniejszych.

Forma literacka owych powiedzeń pochodzi z pierwszych faz dziejów teatralnych, kiedy to widzowie uczestniczyli w rozgrywającym się spektaklu aktywnie, osądzając jego postacie, chwaląc je lub ganiąc, aprobując lub wyśmiewając, współczując z nimi lub odwracając się od nich. Do takich to widzów zwracały się bezpośrednio postacie spektaklu, usprawiedliwiając czy też wyjaśniając te swoje postępki i myśli, których sensu współpartnerom wyjawić nie mogły. Kiedy rozwój utworu teatralnego i rozwój architektury teatralnej zahamował aktywność widzów i odgraniczył ich od spektaklu przestrzennie, powiedzenia, zwracane dawniej bezpośrednio do widzów, nie zaniknęły. Jest to interesujący przykład utrzymywania się form literackich nawet po wymarciu warunków, które je ze siebie wyłoniły. W danym wypadku stara forma usiłuje w nowych warunkach uzyskać nowy sens i oto owe powiedzenia rzucane są teraz: „na stronie" lub skierowywane „do siebie", a nawet rozrastają się w długie monologi; mają być jakby nagłym wyładowaniem się wezbranych wzruszeń poprzez słowa nie słyszane przez współpartnerów. Ten gatunek wypowiedzi, niezgodny z rzeczywistością życiową, jest od stuleci przedmiotem krytyki, ale i obrony. Występował przeciw nim już La Fontaine, bronił ich Molier i Boileau.

W naszych czasach inaczej oceniamy ich niezgodność z rzeczywistością. Sztuka ostatnich lat kilkudziesięciu niejednym swym kierunkiem dowiodła, że w formach nierzeczywistości można dać odkrywczą prawdę o rzeczywistości. Chętnie przyjmujemy irrealizm składników dzieła sztuki, jeśli umożliwia on wydobycie nowych wartości ze świata rzeczywistego (zewnętrznego lub wewnętrznego). Co odsłoniłby ze siebie człowiek, *gdyby* głośno mówił sam ze sobą? — z tym warunkowym pytaniem słuchamy tego, co postacie sceniczne mówią „na stronie", „do siebie" lub w monologu. Interesują nas te wypowiedzi, gdy trafnie odsłaniają w człowieku to, co nie ujawniłoby się w inny sposób, rażą nas, gdy nie są właściwym wyrazem sytuacji. Niestety w tej dziedzinie zawodzą pisarze nawet wybitni. Olśniewa tu odkryciami oczywiście Szekspir, ale i Słowacki np. we „Fantazym" zaznacza swe genialne prekursorstwo, gdy zakłamanej Idalii każe kłamać nawet w monologu, nawet gdy o sobie mówi tylko samej sobie.

Także na realizację sceniczną owych wypowiedzi „nastronnych" skłonni jesteśmy dzisiaj patrzeć inaczej. Są one przeważnie dla aktorów najbardziej kłopotliwymi częściami ról, wydają się im nieważne, gdy nie dopuszczają jaskrawych efektów, toteż na ogół strącane są z pośpiechem mniej lub bardziej zręcznie, a przecie w naszych czasach, kiedy tyle dziedzin twórczości intelektualnej ogarnęła żądza przeniknięcia człowieka, kiedy tylu różnymi sposobami usiłuje się odsłonić jego głąb, kiedy dręczy ona nawet tych, którzy pesymistycznie ustanawiają granice jej poznania, — w naszych czasach owe niezwykłe wypowiedzi, w których dochodzi do głosu człowiek ukrywany, proszą o nowe warunki scenicznego bytowania. Wcale nie byłoby dziwne, gdyby znalazł się reżyser, który by sytuacje sceniczne kształtował *specjalnie* z myślą o nadaniu tym wypowiedziom wagi szczególnej, gdyby w zdarzeniach scenicznych dawał im do wygrania się tyle czasu, ile go potrzeba, aby ich charakterologiczna zawartość mogła ujawnić się w pełni.

Kształtowanie wypowiedzi „nastronnych" może być oczywiście rozmaite. Są przedstawienia, w których obowiązywać powinien postulat względnej naturalności, przestrzegany np. przez Osterwę we „Fantazym", choć realizowany migawkowo, zbywająco. Są przedstawienia, w których można by owym wypowiedziom przywrócić ich formę najdawniejszą, zwracać je bezpośrednio do publiczności, ale należało by przy tym w nowy sposób realizować ich nową funkcję, należało by rozwijać je szerzej i głębiej. Ba, reżyser śmiały a twórczy mógłby sobie pozwolić na wprowadzanie na scenę fikcyjnego delegata lub delegatów publiczności, którzy zajmowaliby na scenie różne miejsca, poruszając się po niej niemo jak obserwatorowie dziwnych ludzi, opętani żądzą poznania ich, i do tych to delegatów publiczności, czy też jednego tylko delegata, skierowywaliby aktorzy to, co mieliby powiedzieć „na stronie", „do siebie" lub w monologu. Tak czy inaczej: nie zbywać wypowiedzi „nastronnych", nie strącać ich zbyt pośpiesznie, przeciwnie: podtrzymywać je, rozwijać je!

„Wielki człowiek do małych interesów" mógłby poprzeć niniejsze propozycje co najmniej postacią Dolskiego.

IV

Zastawa sceny projektu p. Kosińskiego ma w sobie nadmierną dowolność, nie wynika ani z natury utworu, ani z potrzeb gry aktorskiej, wdzięczy się do tych powierzchownych widzów, których zdobywają „ładne dekoracje", „miłe" mebelki i „barwne" kostiumy. A przecie twory plastyki scenicznej nie powinny mieć pretensji do samoistnego bytu artystycznego, powinny być dziełami sztuki uzależnionymi ściśle od utworu i spektaklu.

Rozległe schody, wprowadzone w salon Jenialkiewicza, i podium, wprowadzone w pokój Dolskiego, są nadużyciami popełnionymi na idei różnicowania poziomu sceny, idei, która — jeśli ma zachować swój niezwykły walor — nie może być stosowana w każdym akcie każdego przedstawienia. Nadużywana, naginana do obcych celów, wpychana byle gdzie, zużyje się, spospolicieje i nie będzie miała należytej siły działania wtedy, kiedy utworowi i koncepcji reżyserskiej będzie *niezbędna*.

Nad pokojem Dolskiego wymalował p. Kosiński — i licho — serce przeszyte strzałą. Dodatek zbyteczny, śmieszny, niegodny poważnego teatru.

Tadeusz Peiper

TADEUSZ DOBROWOLSKI

Kilka uwag o realizmie malarskim

Przez wiele miesięcy trwała na łamach „Odrodzenia" dyskusja o malarstwie. Kończąc ją, pragnę wrócić do zagadnienia realizmu, które było jej osią, a wywołało sporo nieporozumień i nieuzasadnionych oskarżeń, kierowanych pod moim adresem. Posądzono mnie nawet o nawoływanie do przypadkowego odtwarzania przedmiotów i o propagowanie malarstwa sprzed 100 i 200 lat, pomimo że w kilku artykułach dałem wyraz swoim poglądom na temat ewolucji malarstwa i jego ideowych związków z każdorazową epoką historyczną, co zakłada niejako niepowtarzalność stylów. Równocześnie wytknięto mi, że, popierając realizm, nie wyjaśniłem dokładniej, o jaki realizm chodzi, słowem, że nie podałem gotowej recepty na uprawianie realizmu.

Nie podałem zaś tej recepty dlatego, że nie jestem zwolennikiem estetyki normatywnej, określającej reguły tworzenia. Trzeba bowiem odróżnić sugestię od narzucania artystom gotowej formuły malarskiej. Wypracowanie nowych środków wyrazu należy do artystów zgodnie z doświadczeniem historycznym. Do krytyków, a zwłaszcza do nauki, należy natomiast analiza faktów artystycznych i wysnuwanie z nich logicznie poprawnych wniosków teoretycznych, przy uwzględnianiu również ogólnej sytuacji kulturalnej oraz nurtujących społeczeństwo pragnień. Ciąży na nich także obowiązek formułowania wniosków drogą badania faktów historycznych, których następstwo reguluje, przynajmniej do pewnego stopnia, potwierdzona przez doświadczenie dialektyka postępu i w ogóle przemian społecznych. Wnioski te, oparte na stwierdzeniu pewnej prawidłowości rozwoju, mogą się odnosić nawet do przyszłości, aczkolwiek rzutowanie przeszłości i teraźniejszości w przyszłość jest sprawą wyjątkowo ryzykowną, z czego jednak nie wynika, że należy się tego raz na zawsze wyrzec, chociaż np. „egzystencjalizm" nie wierzy w powodzenie takiego zabiegu.

Jak podług mojego mniemania zarysowuje się ta przeszłość w dziedzinie malarstwa, nie potrzebuję tłumaczyć, ponieważ dałem temu wyraz w dotychczasowych wypowiedziach. Dlatego poprzestanę tylko na zwięzłym, zapewne zbyt zwięzłym wyjaśnieniu, co rozumiem pod terminem „realizm", z którym sztuka nigdy zresztą nie wzięła ostatecznego rozbratu — i do którego zapewne powróci, oczywista, jeśli świat wybrnie z kulturowego impasu, a „czasy absurdu" zmienią się w czasy rozumnego stosunku do życia.

Wyraz „realizm", jak wynika z moich dawniejszych prac i artykułów, pojmuję bardzo szeroko, wyprowadzając jego znaczenie ze stosunku sztuk plastycznych do realnego świata. Mówiąc o realizmie, mam więc przede wszystkim na myśli sztukę, będącą przeciwieństwem twórczości czysto abstrakcyjnej, opartej na formach wyłącznie **pomyślanych**, jak np. architektura lub geometryczny ornament, albo obrazy podobne do geometrycznej dekoracji, a więc taką sztukę, która przedstawia przedmioty lub zespoły przedmiotów, a nawet części przedmiotów, istniejące w tzw. rzeczywistości obiektywnej, czyli po prostu na świecie. Mam zatem na myśli sztukę przedmiotową, która, rzecz zrozumiała, nie wyklucza ani humanistycznego stosunku do świata, ani emocjonalnego przeżycia, ani intelektualizmu, ani indywidualnego widzenia.

Pojęcie realizmu próbuję z kolei uściślić i zwęzić, odnosząc je do dzieł będących wynikiem specjalnego stosunku malarstwa lub rzeźby do świata rzeczywistego. Mam więc na myśli takie utwory, które, upraszczając czy w pewien sposób deformując rzeczywistość, zachowują przecież „konsekwencję przedmiotową" w rozumieniu fenomenologicznym; nie odmieniają więc przedmiotów aż do zniweczenia ich własności istotnych i przeobrażenia w ten sposób ich jakościowego charakteru, jak czyni to np. kubizm czy inne pokubistyczne, a skojarzone z kubizmem, kierunki. Nadmiernie bowiem swobodny i anarchicznie nonszalancki stosunek takich rodzajów sztuki do przedmiotów, do świata, sprawia, iż przedmioty wskutek specyficznych operacji „twórczych" ulegają jak gdyby „eksplozji", że posłużę się znowu terminem husserlowskim. Ulegają eksplozji, pomimo że, jak mniemam, na to nie zasługują. Ów zanik przedmiotu, czy jego swoista katastrofa, sprawia, że znakomita część tzw. ludzi normalnych, szukających konkretnych fundamentów myślenia i w ogóle życia, a zatem i sensownych form współżycia, odwraca się od takiej sztuki, jako już nazbyt osobistej i indywidualistycznej, odwraca się od sztuki będącej rebusem, którego odczytanie się nie opłaca, bo tylko prowadzi albo w sferę podświadomości twórcy, niejasnej nawet dla niego samego, albo do **pustej** konstrukcji formalnej.

Zgodnie z założeniem, uważam np. sztukę grecką za realistyczną pomimo jej idealistycznych współczynników formalnych, bez których zresztą żadna sztuka obejść się nie może. Chodzi tylko o to, żeby owe idealistyczne czy — jak chcą niektórzy — abstrakcyjne*) pierwiastki nie burzyły harmonijnej jedności, której przejawem bywa każde **dobre** dzieło sztuki przedstawiającej, kojarzące w pewien sposób, a raczej na rozmaite sposoby, jakości przedmiotowe z idealistycznymi, ustalonymi przez artystę.

Dlatego za realistyczne uważam także tak różne i niepodobne do siebie dzieła, jak np. egipskie rzeźby „pisarza" i „wójta", niejako oficjalnie zaliczone do sztuki realistycznej, a także kamienne posągi faraonów czy impresjonistyczne portrety z warsztatu Tutmozisa, jak również dzieła z epoki późnego średniowiecza, renesansu i baroku. Realizm dostrzegam w impresjonizmie XIX wieku, w malarstwie Michałowskiego, Rodakowskiego, obu Gierymskich, Boznańskiej i wielu malarzy współczesnych.

Demonstrowane przez odnośne dzieła różne gatunki realizmu można z kolei określać dokładniej, stosując odpowiednie zabiegi słowne, celem ustalenia proporcji między czynnikami realistycznymi a idealistycznymi w obrębie dzieła, celem określenia stopnia jego ścisłości lub autonomiczności w stosunku do natury, stopnia jego przestrzenności czy płaskości, malarskości czy linijności, waloru i wielobarwności. — Z moich więc uwag wynika dostatecznie jasno, że pod realizmem nie rozumiałem, i w dalszym ciągu nie rozumiem, ani przypadkowego kopiowania rzeczy, ani wstecznictwa.

Zdaję sobie natychmiast sprawę z faktu, że uprawianie pojmowanego w ten sposób realizmu wymaga wielkiego poczucia dyscypliny artystycznej, że domaga się od twórców trudnego wysiłku, zmierzającego do pogodzenia w harmonijnej jedności żywiołu życia, świata kształtów i barw z autonomicznym (lecz nie w sensie absolutnym) światem sztuki i jego idei konstrukcyjnych. Rezultatem takiej jedności są np. dzieła tzw. klasyków malarstwa, jak Giotto, Rafael, Tycjan, Velasquez, Rubens, Rembrandt, Goya, Ingres, Courbet Renoir itd, w których ludzkość uznaje zgodnie szczyty sztuki malarskiej.

Wyrazem zaś mojego optymizmu, popartego jednak doświadczeniem historycznym oraz obserwacją nad społeczną i duchową sytuacją dzisiejszego człowieka, jest przeświadczenie, że człowiek ten prędzej czy później podejmie znowu trud tworzenia **nowych wartości**, określonych pojęciem artystycznego realizmu — oczywiście pod warunkiem, że wyzwolona energia atomowa nie usunie mu spod nóg realnego fundamentu, tj. ziemi, na której istnieje.

Tadeusz Dobrowolski

*) Przymiotnik „abstrakcyjny", chociaż utarty, o tyle wydaje mi się nieścisły, że odnośne jakości istnieją w dziele naprawdę, istnieją naocznie, a więc nie abstrakcyjnie, aczkolwiek ich źródłem nie są realnie istniejące przedmioty, lecz żywioł psychiczny i wola artysty.

PRZEGLĄD PRASY

1) **Jan Kott** („Dzieje Anny", „K u ź n i c a", nr 51) nawiązał raz jeszcze do młodzieży akowskiej, prawem bezwładu pozostałej w konspiracji. Kott pisze: „Mam odwagę powiedzieć, że istnieją jeszcze liczne grupy ideowe, które zachowały osobistą uczciwość. I są jeszcze w konspiracji ludzie, którzy nie strzelali zza węgła, nie mordowali i nie rabowali. Są to grupy dawnej młodzieży AK. Uważam, że jesteśmy dostatecznie silni, aby przebaczyć, aby raz jeszcze ułatwić im ujawnienie, dać im możność powrotu do życia społecznego, który będzie dla nich jednocześnie powrotem do Polski. Sądy o tym muszą pamiętać. Jeśli nawet stu można uratować, to i tak jest to naszym obowiązkiem". Podzielamy ten pogląd.

2) **Włodzimierz Wnuk** („Przez Tatry ku wolności", „T y g o d n i k W a r s z a w s k i", nr 1) słusznie przypomniał prawie zupełnie dotychczas nieznane szczegóły wędrówek, odbywanych przez góry Polski i Słowacji na Węgry. Karpaty, a Tatry w szczególności, były przez cały okres okupacyjny widownią przekradania się i przemytu ludzi. Ruch ten miał dwie fazy, przedzielone klęską Francji: w latach panowania Hitlera nad Europą przekradali się przez góry głównie Żydzi i polityczni zbiegowie, natomiast w okresie drôle de guerre przedzierano się tędy w ostatecznym celu dotarcia do obozu w Coëtquidan. Wnuk zajmuje się tylko wcześniejszym okresem: opowiada wiele jego bohaterskich epizodów, przytacza sporo dowodów patriotyzmu ze strony ludności miejscowej. Szkoda, że przy okazji nie wspomniał o tragedii zdolnego chemika i wybitnego człowieka gór, dr. Włodzimierza Gosławskiego, który w okresie najsroższych mrozów pierwszej zimy wojennej, przedzierając się przez Tatry, zmarł z wyczerpania w owym historycznym szałasie w Dolinie Cichej, który był punktem zbornym przed marszem przez Słowację.

3) Są pisarze — np. **J. N. Miller** lub **Jalu Kurek** — którym wprost już przykro wytykać uchybienia, tak się to stało nagminne. Ale cóż — gdy Kurek w noworocznym nr. „D z i e n n i k a P o l s k i e g o", powracając do swej roli felietonisty w piśmie codziennym, przedstawia się czytelnikom jako mizogin i częstuje ich filozofią w rodzaju „dobra kobieta jest wątłym aniołem, zła zaś jest przekleństwem świata" — albo gdy Miller w „W a r s z a w i e" (nr 8) z wyżyn swej „swobody wewnętrznej" sprowadza walkę o Polskę Ludową (nie lękajmy się pozornego spospolitowania tego określenia) do pobłażliwej ironii na temat „spienionej fali taniego krasomówstwa posła W. Bieńkowskiego, staczającego po raz 777-my w tym samym rynsztunku te same boje z wiatrakami PSLizmu" — trudno się nie obruszyć, nie żżymać, nie zniecierpliwić.

4) Przypominam ciekawe czasopismo „M e a n d e r", które kulturę antyczną stara się przybliżyć czytelnikom możliwie żywo i, powiedziałbym, nowocześnie. W podwójnym nr. 7—8 **Jerzy Kowalski** naszkicował subtelnie sylwetkę Horacego, **Marian Piezia** omówił zasługi średniowiecznej „Łaciny, której nie znamy" dla rozwoju języka polskiego, **Tadeusz Sinko** z właściwą sobie erudycją zestawił klasyczne i polskie przysłowia na temat biedy, studium **Jerzego Manteuffla** „O demokracji ateńskiej" okazało się pożyteczne nawet do przedruku w pismach codziennych. Cenny i niebanalnie prowadzony jest obszerny dział przekładów. Tylko uwagi **Gustawa Przychockiego** „Rzeźba grecka a rzeźba najnowsza" nie powinny się były ukazać w „Meandrze": profesor nie ma bowiem nawet elementarnej wiedzy w zakresie podjętego przez siebie porównania i wygłasza sądy — zawstydzające. Również nowelka „To sprawa Kupidyna!" jest niefortunnym wychyleniem się „Meandra" poza właściwy mu zakres. W nr. 9 m. i. **Izydory Dąmbskiej** „Zagadnienie śmierci w greckiej filozofii starożytnej" oraz fragment „Pokoju" Arystofanes w przekładzie **Stefana Srebrnego**.

5) Niewiele się znam na malarstwie, niewiele miałbym więc do powiedzenia na temat „P r z e g l ą d u A r t y s t y c z n e g o", gdyby nie fakt, że to bardzo interesujące czasopismo drukuje również utwory literackie, a nawet zahacza o politykę (**Stan. Teisseyre** „Wrażenia londyńskie", w nr. 11—12). Trudno też nie wymienić „Gwiazdy dwóch horyzontów" **Stefana Flukowskiego**, utworu o dużej wartości artystycznej i ściśle teatralnej, który koniecznie winien być zagrany. Trudności inscenizacji i znalezienia odpowiednich wykonawców byłyby ogromne, przyznaję, ale czy nie powinny tym bardziej pociągać?

6) Za miły obowiązek uważam przypomnieć regularnie wychodzący w Lublinie dwutygodnik społeczno-oświatowy „Ś w i a t ł o". Na lubelskim uboczu potrafił sobie red. **Jacek Bocheński** zapewnić współpracę cennych piór (**S. Żółkiewski, A. Schaff, Z. Jurkiewicz, S. Żurawicki. R. Szewczyk, T. Tomaszewski, Z. Gurka**), co już stanowi połowę sukcesu. Drugą połową są talenty redakcyjne w doborze i ogłaszaniu właśnie najbardziej pożytecznego materiału.

7) Nie tylko w porównaniu z innymi, częściej ukazującymi się wydawnictwami podobnego typu, ale i samo dla siebie interesujące i pożyteczne jest czasopismo „P r z y j a ź ń", zbyt rzadko i nieregularnie ukazujący się organ Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Numer za grudzień ub. r. odznacza się sporą ilością krótkich, wartościowych informacji.

8) W noworocznym nr. „O d r y" znaleźliśmy 4 kolumny dodatku „Spisu treści". Należy wyróżnić „Odrę" za to pionierskie spełnienie postulatu, obowiązującego każde czasopismo.

9) W „A r k o n i e" (nr 13—14) **Wanda Brzeska** w sposób przekonywający przeprowadza „Rehabilitację Smętka", jako polskiego nie germańskiego diabła, natomiast **Bol. Srockiemu** nie bardzo się udała obrona Kasprowicza: bo przecież zarzuty przeciw poetyckiemu dziełu Kasprowicza nie dotyczyły tylko juweniliów lub marginesów, lecz całokształtu jego poetyckiej działalności.

10) Numer poświęcony swemu zmarłemu redaktorowi, Pawłowi Hulce-Laskowskiemu, wydał „P i e l g r z y m P o l s k i", organ Ruchu Metodystycznego: obszerny życiorys, wspomnienia, fragmenty z pism przedwcześnie zmarłego pisarza.

11) Należy zwrócić uwagę na „P o r a d n i k P r a c o w n i k a S p o ł e c z n e g o", dwutygodnik od dawna wychodzący w Warszawie staraniem Ministerstwa Informacji i Propagandy. Niefortunny tytuł, lichy papier i w ogóle oprawa zewnętrzna czasopisma sprawiają, że nie bardzo chce się zaglądać do środka, a niesłusznie, bo pismo ma treść żywą, omawia w zwięzłych artykułach wszystkie ważniejsze problemy życia polskiego i postarało się o pióra fachowe. Zeszyt 17 poświęciła redakcja w całości planowi 3-letniemu (artykuły najwybitniejszych przedstawicieli CUP). O rozpiętości treści następnego zeszytu daje pojęcie fakt, że tematy gospodarcze sąsiadują z politycznymi, że czytamy art. o „Początkach socjalizmu w Polsce", o powstaniu listopadowym i rewolucji październikowej i tak samo o utworzeniu AL czy o wyborach we Francji. Przy całym uznaniu, jakie wypada mieć dla redakcji „Poradnika", trzeba jednak powtórzyć, że konieczne jest obmyślenie jakiejś bardziej zachęcającej szaty zewnętrznej, jakichś lepszych sposobów dotarcia do czytelnika.

12) Do stosunkowo nowych wydawnictw należy tygodnik „O g n i w a", organ Związku Weteranów Powstań Śląskich: sympatyczny tygodnik społeczno-polityczny, z działem literackim, który można czytać bez szkody dla nerwów.

13) W „T y g o d n i u" od paru tygodni ukazują się reportaże z wędrówek afrykańskich. pióra inż. **Wiktora Ostrowskiego**. alpinisty, autora książek z wypraw w Kordyliery i na Kaukaz. Nie tyle forma literacka — zaledwie poprawna — ile temat opisów (wędrówka po stepach Masai, trzecie polskie wejście na najwyższy szczyt Afryki Kilima Ndżaro) wzbudza ciepłe, u wielu gorące, zainteresowanie i wraz z reportażami Fiedlera, drukowanymi do niedawna w „P r z e k r o j u", przywraca czytelnikom zerwaną przez wojnę łączność z czarem egzotyzmu i urokami „szerokiego świata". Słychać również o pięknych polskich osiągnięciach podróżniczych w Azji: czemu dotychczas mamy tak mało sposobności o nich czytać? Z tego samego powodu — pożytecznego zaspokojenia głodu przygody — godne są wzmianki reportaże **Macieja Mischke** z wypraw alpinistycznych polskich studentów w Szwajcarii („T y g o d n i k P o w s z e c h n y", nr 1).

14) Popularny w kołach skautów i sokołów wierszyk „Cudze chwalicie, swego nie znacie" przypomina o krajoznawstwie polskim. Dobrze mu służy „Z i e m i a", organ Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego — w pewnej mierze również „C h r o ń m y P r z y r o d ę O j c z y s t ą", organ Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Jednak oba czasopisma częściej przynoszą smutne niż pocieszające wiadomości. W nr. 7—8 „Chrońmy Przyrodę" znany turysta **M. Orłowicz** poinformował o zagładzie interesujących zabytków przyrody: źródeł Warty w Kromołowie oraz Pustyni Błędowskiej; niszczeją rezerwaty przyrody w Karkonoszach, ale niszczeją też w Poznańskiem czy na Lubelszczyźnie; sytuacja w Tatrach jest katastrofalna: masowe obozy harcerskie (rzecz przed wojną w Tatrach nie do pomyślenia) dewastują przyrodę w sposób systematyczny i pospieszny; natychmiastowe zastosowanie środków zaradczych jest niezbędne. Tę ważną sprawę wszyscy musimy uznać za pilny postulat kulturalny.

jaszcz

Gawęda z emigracją

W „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza", londyńskim „codziennym piśmie informacyjnym Polaków za granicą", w rubryce „To i owo" — taka notatka:

„Wernher von Braun, główny wynalazca V_2, które przeraziło Londyn i zabiło około 3 000 Anglików, udekorowany osobiście przez Hitlera za wielkie zasługi dla wysiłku zbrojnego Rzeszy, został przewieziony do Ameryki i otrzymał obywatelstwo Stanów Zjednoczonych. 118 jego kolegów z wytwórni V_2 będzie również wkrótce naturalizowanych."

Cytowana gazeta sama zaopatruje tę wiadomość komentarzem: „Tylko liczyć na sprawiedliwość na świecie To nigdy nie zawodzi".

Nie zawiódł się też, jak widać, Polak, który w swym liście z Niemiec do Londynu, do tej samej redakcji, napisał:

„3 lata byłem w AK! Sabotaż... zasadzki na Szwabów... ukrywanie zbiegłych jeńców Anglików... parę trupów SS-manów... Rok byłem w Mauthausen... przeszedłem piekło! Odmówiono mi wizy do Ameryki. Jestem schorowany, rozbity, niepotrzebny widać — Wielkiej Demokracji."

Jego koledzy w Anglii nie są jeszcze całkiem schorowani, mają za to pełne warunki po temu. W okół miasta Brandon i Thetford, na granicy hrabstwa Suffolk i Norfolk, znajdują się w lasach obozy polskich żołnierzy, 3-ciej DSK. „Obóz 3-go PALu umieszczony jest w lesie, w starych beczkach blaszanych, gdzie błoto w czasie ulewy wokół baraków dochodzi po kolana." „Warunki pracy są złe." „A w mokrych lasach po powrocie z pracy jest wilgoć i zimno." „Wszystkie stare obozy są z dziurawymi dachami."

Gazeta donosi z radością, że paruset polskich żołnierzy będzie zatrudnionych przed Bożym Narodzeniem przy sortowaniu paczek i worków na stacjach kolejowych. Zawsze to lepsze niż pobyt w lesie, w wodzie po kolana. Gdy zaś miną święta, otworzą się nowe możliwości..., przy budowie dróg. Albowiem podczas debaty „lordowie skarżyli się na zaniedbanie dróg", lecz uspokoiło ich oświadczenie, że do naprawy dróg zostaną użyci Polacy (nr 275 z 21. XI. 1946 r.) W razie potrzeby zostaną sprowadzeni uchodźcy z Europy.

W Niemczech wedle „Przeglądu Polskiego" pozostaje jeszcze 400 000 Polaków. „Nieszczęśliwe metody postępowania władz alianckich, szykany policyjne, rozkładowy wpływ bezczynności powodują, że pozostają właśnie gorsze pod względem moralnym elementy." 40 tysięcy ludzi zaangażowano do oddziałów wartowniczych, część zatrudniono około obozów i w dorywczych pracach. „Ale większość pozostaje z konieczności bezczynna i demoralizuje się." Dano też do zrozumienia, że dla aliantów nie będzie pracy, „że należy dążyć do załagodzenia stosunków polsko-niemieckich i że możliwa będzie praca, ale wśród Niemców i dla Niemców" (nr 6, grudzień, 1946).

Najlepszy środek do „załagodzenia" stosunków obmyślił i propaguje... Stanisław Mackiewicz, który zaczął wydawać pismo „poświęcone walce z granicą zachodnią na Odrze i Nysie". Przyjaciel germanofila Studnickiego przeszedł jawnie do obozu rewizjonistów niemieckich i wraz z nimi prowadzi kampanię przeciw Polsce. Nienawiść do reformy rolnej i upaństwowienia kopalń i fabryk jest większa niż miłość ojczyzny u wszystkich Mackiewiczów. Skorumpowany do szpiku pachoł Nieświeża wie, że trzeba szukać sprzymierzeńca i znajduje go w Berlinie, pomimo iż Niemcy zamknęły rachunek niszczenia Polaków liczbą 6 000 000 naszych obywateli w ciągu 2 076 dni ostatniej wojny.

„Zaletą" Mackiewicza jest, że wysnuł potworne i odrażające, lecz ostatnie konsekwencje ze stanowiska emigracji. Kto jest przeciwnikiem sojuszu Polski z ZSRR, nieuchronnie, czy chce czy nie chce, staje w obozie rewizjonizmu, tuż obok Schumachera i Niemiec dyszących żądzą rewanżu.

*

Uważniejszy czytelnik emigracyjnych pism, przebywający na emigracji, musi zwrócić uwagę na sprzeczności, jakie zawiera ona w informacjach o stosunkach w Polsce. Tak np. można przeczytać w „Przeglądzie Polskim" o oświadczeniu biskupów szkockich, dotyczącym „prześladowań religijnych w Europie wschodniej", które stwierdza „w alarmującej formie, że prześladowanie przyrównać można do prześladowania chrześcijan za czasów Nerona".

Tymczasem w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza" podano wiadomość o piśmie kardynała Hlonda do prezesa Rady Polonii Amerykańskiej i taką charakterystykę stosunków w kraju:

„Niesposób zliczyć i opisać te zniszczenia, te zgliszcza i rumowiska, te legiony sierot i bezdomnych, te miliony gruźlików i ludzi o złamanym zdrowiu. Kto tu zza granicy przyjeżdża i staje osłupiały wobec ogromu ludzkiej niedoli, **ale zarazem zdumiony niepohamowanym pędem życia. Bo nie gubimy się w skargach i ponurych wspomnieniach. Z uporem odbudowujemy się mimo najtrudniejszych warunków.**" (podkreślenie nasze).

W słowach tych, tak bardzo prawdziwych jak sama rzeczywistość, nie ma śladu atmosfery ucisku i prześladowań, o których mówi kłamliwe oświadczenie biskupów szkockich. Przeciwnie, tym razem, przebija z nich wyraźnie nastrój optymizmu, któremu prymas Polski słusznie ulega, malując psychiczne nastroje najszerszych rzesz ludności w Polsce i ich stosunek do zadań stawianych przez czas.

Lecz do prasy polskiej za granicą przenika prawda o kraju i w sposób bezpośredni. W kronice katolickiej, podawanej przez nowojorski „Tygodnik Polski", czytamy w formie pretensji o skąpych przydziałach papieru dla katolickich czasopism:

„Można śmiało powiedzieć, że 90 procent narodu polskiego — to katolicy; tymczasem — tylko 50 procent papieru przydziela się na czasopisma katolickie."

Za Nerona katolicy nie otrzymywali przydziału papieru w ogóle, a 50 procentowy udział w dzisiejszym rozdziale papieru w Polsce nie ma wiele wspólnego ze swądem „żywych pochodni" i okrucieństwami Dioklecjana. „Najlepszy „Tygodnik Powszechny" z Krakowa — ma pozwolenie na 30 tysięcy egzemplarzy, gdy zapotrzebowanie — skromnie licząc — domaga się ich 100 tysięcy."

To już znowu przesada. Przede wszystkim skromny red. ks. Piwowarczyk obruszy się za nadmierne pochwały. chociaż jego pismo w części na nie zasługuje, zwłaszcza od czasu, gdy zaczęło przejawiać aktywną troskę o sprawy w Polsce, a przestało zajmować pozycję outsidera, obserwatora stojącego na boku i patrzącego krzywo, z ukosa. Po wtóre, o ile nam wiadomo, przydział papieru „Tygodnika Powszechnego" zamyka się w granicach 50 tysięcy egzemplarzy a jest wyzyskiwany przez pismo co najwyżej do 30 tysięcy.

Rynek odbiorców poważnie redagowanych pism tygodniowych rośnie, ale nie tak już znowu gwałtownie, jak to sobie wyobraża nowojorski „Tygodnik Polski". Lecz panowie Kazimierz Wierzyński, Jan Lechoń, Marian Czuchnowski, Tymon Terlecki powinni dobrze pamiętać: „Wiadomości Literackie" osiągnęły optimum nakładu — 12 tysięcy egzemplarzy. Dziś tylko trzy tygodniki: „Odrodzenie", „Kuźnica" i „Tygodnik Powszechny" biją razem około 100 tysięcy każdego numeru. Więc coś się zmienia na dobre za „żelazną kurtyną". „Nie gubimy się w skargach i ponurych wspomnieniach" — że powtórzymy za ks. prymasem kardynałem Hlondem.

*

Na koniec dobra anegdota, zrodzona w żywiole, od którego zaczarowany, wspaniały świat zachodni nie zdołał się jeszcze oderwać, — w utrzymywanych tam obozach. (Obozownictwo stało się stałą instytucją, nową formą życia, ostatnim wyrazem nowoczesnego osadnictwa, instrumentem ekonomicznej polityki w stosuku do nieszczęsnych, wyrzuconych z siodła europejskich rozbitków).

„Rabinowicz uszedł cudem z ghetta. Potem dostał się na Majdanek. Przeżył Majdanek. Dostał się do Buchenwaldu. Po oswobodzeniu przesiedział się w obozie D. P. pod Monachium. Czmychnął. W drodze do Palestyny przymknęli go na nielegalnym statku. Wreszcie wylądował za drutami obozu na Cyprze. I tutaj zapytał z melancholią:

— Kolego Rubinstein, czy kolega wierzysz jeszcze w życie... pozaobozowe?... („Wiadomości", nr 40).

A nasi żołnierze z 3 Palu w obozie pod Brandon — czy wierzą? I kiedy nasza rodaczka, żołnierz A. K., 17-letnia dziewczyna o orzechowych oczach, z którą mówił Marian Czuchnowski w szpitalu obozowym 7 Grupy, wróci do swojej mamy w Krakowie?

„Mama chce, abym wróciła do kraju. Chcę wrócić, bo może w kraju będę mogła pójść na uniwersytet. ...Wiem, co jest w kraju i trudno mi się zdecydować"...

Co wiesz, droga koleżanko po broni i obozie? Co jest w kraju? Czy mama dybie na ciebie, zachęcając do powrotu? Czy wierzysz istotnie, że gdy pisała list, ktoś stał nad nią z bagnetem?

Porzuć obóz na obczyźnie i wracaj do swoich — na wolność.

Józef Sieradzki

„POWRÓT"

FLERSA I CROISSETA

w krakowskim Starym Teatrze

Występują: Jaroszewska, Biegański, Żmijewska, Mrożewski Fulde, Jabłoński, Przeradzki i Kasarab. W miękko urządzonym salonie. a potem nie wiadomo w czym poruszają się i mówią, nie dbając o autorów. Wszyscy są zabawni, publiczność śmieje się wszystkimi śmiechami.

T. P.

Szkoła krytyków

ZA KILKA MIESIĘCY

Co będzie za kilka miesięcy? Nie trudno to przewidzieć. Do kilku miesięcy zostaną wydane drukiem ostatnie rękopisy z lat okupacji. Nie byłoby to jeszcze największe nieszczęście. Ważniejsze jest, że za kilka miesięcy nie będzie już można pisać o okupacji w dotychczasowy sposób. Dokumentaryczno-informacyjny lub też, na stopniu wyższym, eksploatacyjno-doraźny kierunek prozy był znamieniem dotychczasowej produkcji nowelistycznej, rzadziej powieściowej, jako że odpowiadał, istniejącemu niewątpliwie w tych dwóch formach, zamówieniu społecznemu. Ten wszakże kierunek prozy traci na aktualności, ponieważ zamówienie społeczne uległo zmianie.

Sytuacja zaczyna być całkiem odmienna aniżeli przed rokiem. Obserwatorzy ruchu czytelniczego sygnalizują, że publiczność odwraca się od książek przedstawiających lata okupacji. Przyjaciel, który dużemu gronu czytelników w Zakopanem zawozi nowości, otrzymuje stale ostrzeżenie: — byle nie o okupacji! Można naturalnie grzmieć na krótką pamięć ludzką. Co do mnie nie podjąłbym się takiego grzmotu, ponieważ w tym rozpoczynającym się procesie bynajmniej nie chodzi o zapomnienie, lecz o sprawy bardziej skomplikowane. Ale to stanowisko w pewnym sensie nie potrzebuje obrony. Samo się broni najmocniej — tym, że czytelnik przestaje brać do ręki pewne książki. Proponuję przeto całkiem prosty wniosek: z tym niewątpliwym faktem należy się liczyć. Ten fakt jest bardzo znamienny.

Cóż on bowiem znaczy? Zwykły czytelnik doskonale wyczuwa, że literatura eksploatująca tylko martyrologię i Niemców, jeżeli potrwa zbyt długo, stanie się po prostu wykręcaniem sianem. Wykręcaniem się od innych, narastających tymczasem problemów, obserwacji, prawd. Realizm polski jeszcze się nie zaczął. Przybyło go nieco przez doświadczenia wojenne, ale to jest realizm jakiegoś bezkrólewia. Nie myśmy odpowiadali za jego wymiary. Realizm polski dopiero się może zacząć. Ale zobaczymy.

Ochronny parawan wojennego i okupacyjnego tematu już nie na długo wystarczy. Wnet trzeba będzie sięgnąć do lat, które były przed, i do lat, które narastają po, wreszcie do samych lat wojny, ale widzianych nie od ich wnętrza. Każde z tych zadań czekających na polskich prozaików i poetów jest o wiele trudniejsze od zadań, jakie dotąd napoczęli. Tak, napoczęli, nie rozwiązali. Obawiam się mocno, czy wiele zapamiętali z tego, co było przed wojną, i czy wiele zauważyli z tego, co po wojnie się dzieje.

Tymczasem nowe książki prawie że nie powstają i za kilka miesięcy staniemy wobec kryzysu, tak na rynku wydawniczym jak i na rynku, że tak powiem, rękopiśmienniczym. Ale puszczone w ruch maszyny drukarskie i rozbudzone apetyty czytelników nie opadną dla tej jednej przyczyny, że pisarzom polskim zbraknie rękopisów. Puszczone maszyny domagają się żeru i ten żer otrzymają. Za kilka miesięcy, a może później, nie piszę przecież kalendarza, poczną na witryny księgarskie wnikać tłumaczenia z obcych języków. Pamiętajmy, że obecna sytuacja literacka w Polsce, zdecydowana przewaga dorobku domowego nad importowanym, jest wyjątkowo pomyślna. Nie było tak przed wojną i na pewno nie będzie przez długie jeszcze lata. Sama twórczość obecnych pisarzy polskich nie jest zdolna nasycić potrzeb czytelników w stopniu większym aniżeli przed wojną. O tylu jest ich mniej i tylu z nich mniej ma do powiedzenia. Powodzenia na starcie nie przesądzają wyniku nawet na półmetku.

Przekłady zaczną się pojawiać. Ani nam nie wolno się uchylić od tej konfrontacji z piśmiennictwem innych narodów, ani też, gdybyśmy na mocy jakichś zarządzeń reglamentacyjnych odmówili czytelnikowi tłumaczeń, nie napędzimy go do czytania książek, jakich czytać nie ma zamiaru. Jak ta konfrontacja wypadnie, czy wytrzyma ją obecna twórczość prozatorska, czy potwierdzi się wysokie mniemanie krajowej krytyki o „tejże" (bo nic innego nie czytamy — podsygnowany również!), to sprawa bardzo a bardzo ciemna. Optymiści się nie lękają widząc, że pierwszy pisarz, z którego Dzikowski był zadowolony, to Aragon. Pesymiści właśnie się tego lękają.

Jedno wszakże nie ulega wątpliwości jesteśmy na zakręcie bardzo poważnym. Pierwszy wiraż powojennej twórczości. Jak go weźmie, czy nie wypadnie z toru?

kjw

NOTATKI POZNAŃSKIE

RACHUNKOWOŚĆ W SPRAWACH KULTURY CZYLI OŚWIATA PO CIEMKU

Przysłowie powiada, że skrupulatne rachunki są podstawą przyjaźni. Zawsze lubiłem arytmetykę; przepadam za dokładnością; a jednak nie mogę powiedzieć, żebym z przyjaznymi uczuciami czytał pismo Wydziału I stoł. m. Poznania (3. I. dz. 9622/46).

Co to za pismo? Związek Literatów urządza tak zwane „Czwartki Literackie", czyli odczyty i wieczory autorskie. W zeszłym roku „Czwartki" odbywały się w auli Akademii Handlowej, która liczyła 250 zł za wieczór i przysyłała rachunki okresowo. W bieżącym roku Zarząd Miejski oddał Związkowi Literatów na „Czwartki" Salę Odrodzenia w Starym Ratuszu. Radość była powszechna. Już zaczęto przebąkiwać, że prezydent Poznania nie chce zostać w tyle za prezydentem Łodzi, p. Mijalem, któremu tak wiele zawdzięczają pisarze łódzcy. Spalony Stary Ratusz ożył. Gotów byłem widzieć w tym także symbol odbudowy materialnej i kulturalnej miasta.

Niebezpiecznie jest myśleć symbolami. Zaraz po pierwszym „Czwartku" podszedł do mnie na sali jakiś urzędnik magistracki i zażądał 900 zł za salę. Zdziwiło mnie to łapanie gościa za rękaw, żeby przypadkiem nie uciekł, a także suma. Poprosiliśmy o wyjaśnienie urzędowe. I oto naczelnik Wydziału I pisze: „wysokość kosztów własnych za opał, światło itp. za korzystanie z Sali Odrodzenia w Starym Ratuszu przez Związek Literatów Polskich obliczono na zł 892 — za jedno posiedzenie. Koszty te należy płacić każdorazowo do rąk zarządcy Ratusza..."

A więc jednak nie 900 zł tylko 892 zł! Powinny być jeszcze grosze np. 892 zł 21 groszy. Uczono mnie, że księgowo podejrzanie wyglądają wszystkie pozycje zbyt okrągłe. Płacić trzeba „każdorazowo", zaraz na sali, bo jak wiadomo, literaci po „Czwartku" w celu wzmożenia twórczości artystycznej idą na wódę i cały dochód z miejsca przepijają! Z ciekawością zacząłem przyglądać się „kosztom własnym": opał, światło itp. Wiem, co to jest opał. Na jesieni sali nie ogrzewano. Przy wejściu wieje ogromna dziura od pocisku artyleryjskiego, która spełnia rolę wentylatora. Kiedy na sali jest 60 osób, nie można zdejmować palta ze względu na ten wentylator. A jak się natłoczy paręset osób, to i bez opału magistrackiego parę studentek zemdleje, jak się to stało na prelekcji prof. Szweykowskiego o artyzmie „Faraona", bo dziur od pocisków jest stanowczo za mało na większą publiczność.

Wiem również, co to jest światło. Ponieważ zagajam „Czwartki", więc wiem także to, czego zapewne nie wie naczelnik Wydziału I, a mianowicie, że elektrownia miejska ze względów oszczędnościowych wyłącza prąd we czwartki w dzielnicy Starego Ratusza, tak że prelegenci wyślepiają sobie oczy przy świeczkach. Inna rzecz, że świeczki, a nawet ogarki, też kosztują. Idzie o ścisłość: oświata po ciemku! Gdyby na środku sali postawić kadź z wódką, a prezesa Związku Literatów ubrać za guślarza, to można by poznańskie „czwartki" z powodzeniem przemienić na stylowe Dziady.

Nie wiem natomiast, co za koszty własne kryją się w symbolu „itp.". Może po prostu czynsz i amortyzacja, znaczek na Czerwony Krzyż, opłata na Pomoc Zimową, fundusz wyborczy i cegiełka na odbudowę wieży ratuszowej? Jak dokładność to dokładność. Takie mgliste „itp." to było dobre na czasy „Młodej Polski". Proszę pamiętać, że żyjemy w epoce „socjalistycznego realizmu" w literaturze!

„Czwartki" nie są imprezą dochodową, lecz oświatową i kulturalną. Wstęp kosztuje tyle co papieros amerykański; na wieczór Brezy, Dąbrowskiej, Iwaszkiewicza czy Przybosia przyjść może człowiek, którego nie stać ani na kino, ani na mecz. Dochód brutto z jednego wieczoru w grudniu wyniósł 760 zł. Naczelnik Wydziału I chyba się zgodzi, że zarówno Związek Literatów, jak prelegenci i recytatorzy mają również swoje „koszty własne" (jedyna to ich dzisiaj „własność"!), czyli ogrzewają się, palą światło itp. Na sprowadzanie wybitnych pisarzy i uczonych łoży Związek Literatów z subwencji ministerialnej. Wieczory literackie urządza się dla mieszkańców stoł. m. Poznania. Czyżby tedy stoł. m. Poznań nie mogło przyczynić się do szerzenia kultury na swoim terenie przez skreślenie śmiesznych „kosztów własnych", albo raczej przez przeniesienie ich do budżetu Wydziału Kultury i Sztuki?

OPERA W OPERZE

Ostatnia premiera w Poznańskiej Operze objęła dwie sztuki: „Rycerskość wieśniaczą" Mascagniego i „Pajace" Leoncavalla. Opera jest solidną firmą, która zdaje sobie sprawę, że solidny klient, a innych nie ma w Poznaniu, bo niesolidni albo pozostali w kongresówce, albo powędrowali na Zachód i siedzą już w więzieniach, kupiwszy bilet chce mieć wieczór solidnie wypełniony. Obie sztuki zresztą wiążą się w pewien sposób: tu gorące niebo włoskie i tam, tu namiętna krew i tam. Ta sama prymitywność uczuć i odruchów, te same dekoracje (udałe), kostiumy, statyści (gorsi niż dekoracje) i zapewne także noże i sztylety.

Rzecz zrozumiała, że jeden trup, w dodatku jak w „Rycerskości wieśniaczej" poza sceną, to niewiele, jak na mieszczański gust. Mascagniemu tedy w pomoc pośpieszył Leoncavallo, dorzucając hojnie jeszcze dwa trupy. Jakieś dwieście kilogramów, „martwej wagi" może zdecydowanie przechylić szalę zainteresowania publiczności. To już coś jest! Zwłaszcza, że w „Pajacach" morderstwa dzieją się na scenie.

Poza tym libretto Leoncavalla przewiduje pewne urozmaicenie rodzajów śmierci: uduszenie i zasztyletowanie. Zróżniczkowano też płeć: jeden trup żeński i jeden męski do pary. W „Rycerskości" bas wbija rywalowi majcher pod ziobro, a w „Pajacach" czyni to na odmianę liryczny tenor. Wycieniował widowisko reżyser, rozkładając zwłoki Colombiny w akrobatyczno-wdzięcznej pozie na schodach, głową w dół, tak że nie wiadomo było, co podziwiać: okrucieństwo zazdrośnika, czy taktowność mężczyzny, który, wydzierając swe ofiary życie, dbał o efektowny układ jej ciała, czy nogi Colombiny czy jej przytomność umysłu, żeby także po śmierci robić prześliczne wrażenie? Słowem pole do rozważań: sadyzm w artyzmie, czy artyzm w sadyzmie?

Mascagniego prowadził dyr. Latoszewski, a Leoncavalla dyr. Wojciechowski. To też był swego rodzaju pojedynek. Kto zwyciężył? Obiektywnie można powiedzieć, że tenor *brzmiał* lepiej w „Cavallerii", a sopran lepiej *wyglądał* w „Pajacach". „Rycerskość wieśniaczą" przyjęto poprawnie. „Pajaców" zaś w pewnej części sali frenetycznie. Jak się tylko zaczęła podnosić kurtyna przed pierwszym aktem „Pajaców", natychmiast zerwały się oklaski w paru miejscach. Nie masz wdzięczniejszej publiczności nad poznańską — pomyślałem sobie — oklaskują nawet obcasy u butów aktorów!

Powoli sytuacja się wyjaśniła: dwie sztuki, dwu kierowników muzycznych i dwie partie w operze. System jednopartyjny panuje tutaj, jak widać, a raczej jak słychać, tylko w zakresie — klaki. Opera w operze, to nie tylko trupa operowa występująca na scenie w „Pajacach". To także widowisko wewnętrzne w Operze Poznańskiej. Do dwu sztuk, jakie zapowiedziano na afiszu, dodano nadprogram: rozgrywkę między kierownikami muzycznymi. Ze strony głównej dyrekcji była to niewątpliwie „rycerskość". Klaka jednak, czuwająca zupełnie niepotrzebnie nad powodzeniem „Pajaców" (wystarczyła Colombina-Fedyczkowska), dowiodła, że „rycerskość" zbyt często, niestety, bywa „wieśniacza".

Wacław Kubacki

WŚRÓD KSIĄŻEK

Władysław Tatarkiewicz, prof. Uniw. Warsz. Historia filozofii. Tom pierwszy. Filozofia starożytna i średniowieczna. Wydanie III. (Kraków), „Czytelnik". 1946; str. 415 i 1 nl.

Pojawienie się pierwszego tomu „Historii filozofii" prof. Tatarkiewicza w trzecim wydaniu jest zdarzeniem, które powitać trzeba z wielkim zadowoleniem i uznaniem. „Czytelnik" zapewnił wydawnictwu wytworną formę, dobry papier, 14 całostronicowych portretów najważniejszych filozofów starożytnych i średniowiecznych. Przyjemnie jest mieć tak ładnie wydaną książkę w podręcznej bibliotece, móc często z nią przestawać i uczyć się z niej umiłowania mądrości.

Książka prof. Tatarkiewicza jest wśród podręczników pozycją niezwykle cenną. Prace polskich autorów podawały dotychczas całość historii filozofii tylko w bardzo ogólnych zarysach; z obcych opracowań największą popularność zyskał sobie Eucken, autor „Wielkich myślicieli i ich poglądu na świat". Inne podręczniki historii filozofii w polskim języku były już przeważnie przestarzałe i zapomniane.

Dwutomowa „Historia filozofii" prof. Tatarkiewicza, ogłoszona po raz pierwszy w 1931 r., ten wielki brak wypełniła znakomicie żywą i ciekawą treścią. Zgłaszano wprawdzie żale, że zajmuje się tylko filozofią europejską jako całością zwartą od początku aż do naszych czasów, a pomija dzieje filozofii krajów pozaeuropejskich. Zauważono też trafnie, że jest nie tyle historią filozofii, ile historią filozofów. Pretensje te nie umniejszają jednak wartości podręcznika.

Wykład prof. Tatarkiewicza jest ścisły i jasny, zajmujący i przejrzysty; podział na trzy epoki: filozofię starożytną, średniowieczną i nowożytną uzasadniony; rozdziały o poszczególnych filozofach uzupełnione są dobrze wybraną bibliografią; poszczególne okresy mają na końcu zestawienie najważniejszych zagadnień; wreszcie tom pierwszy, który przynosi nam omówienie dwóch pierwszych epok, zamyka dokładny spis rzeczy.

Należy jedynie wyrazić życzenie, aby niebawem ukazał się tom II, obejmujący dzieje filozofii nowożytnej, której początek przypada na wiek XV, bo dopiero całość podręcznika stanie się dla każdego młodego kulturalnego Polaka, czy dla starszego społeczeństwa, któremu wojna zniszczyła poprzednie wydania „Historii filozofii" prof. Tatarkiewicza, nieodłączną pomocą w pracy.

Bohdan Nawroczyński. Zasady nauczania. Wydanie piąte. Wrocław, „Książnica-Atlas", 1946; str. 432.

Podręcznik prof. Nawroczyńskiego ma już za sobą 15 lat doświadczeń, ukazał się bowiem po raz pierwszy w 1930 r. Obecnie pojawia się w piątym wydaniu, co świadczy, jak bardzo jest przydatny nauczycielstwu i kandydatom do zawodu nauczycielskiego.

W trzech obszernych częściach omawia autor ideały dydaktyczne, zagadnienia uczenia się i nauczania oraz plan nauczania w odniesieniu do potrzeb społecznych i potrzeb młodzieży. Prof. Nawroczyński zna przedmiot doskonale, ma nadto dar wykładu zajmującego i przystępnego. Zaletą książki jest również ostrożność, z jaką autor referuje rozmaite doktryny pedagogiczne, w każdej wyróżniając jej istotne wartości. Próba wytłumaczenia, skąd się dana doktryna wzięła, uczy czytelnika historycznego myślenia. Mówiąc obszernie o metodach nauczania, autor nie zapomina nigdy o głównym celu nauczania, którym powinna być dążność, aby wychowanek stał się samodzielnym i twórczym członkiem społeczeństwa, innymi słowy, celem nauczania jest umiejętne urabianie osobowości. Nowych programów Nawroczyński uwzględnić nie mógł, nie są one zresztą jeszcze ostatecznie ustalone. Nim to nastąpi w nowym wydaniu „Zasad nauczania", podręcznik prof. Nawroczyńskiego i w obecnej formie odda wielkie usługi rzeszom kształcącego się nauczycielstwa.

Stefan Papée

STARA I NOWA DEMOKRACJA

Wacław Bielecki. Stara i nowa demokracja. (Warszawa), „Czytelnik", 1946; str. 63 i 1 nl.

W czterech rozdziałach daje autor wykład historyczno-polityczny o demokracji, zestawia i analizuje różne jej postacie: formalno-prawną czyli mieszczańską, społeczną czyli, jak ją nazywa — proletariacką i ludową, tj. typu naszego.

W stosunkach gospodarczych demokracja ludowa oznacza usunięcie przeżytków, „przeprowadzenie radykalnych, rewolucyjnych przemian w istocie swojej o charakterze burżuazyjno-demokratycznym, lecz przeprowadzenie ich konsekwentnie do końca". Sformułowanie to jest szczególnie słuszne, jeśli idzie o dokonaną przebudowę ustroju rolnego.

Zasadnicze przesunięcia w podziale dochodu społecznego są i będą podstawą przemian, które odróżnią z biegiem czasu, coraz plastyczniej i realniej, formalne prawo przyznawane przez konstytucje mieszczańskie od faktycznego, opartego na gwarancjach realizacji prawa.

Lecz autor unika nadmiernego teoretyzowania, słusznie mając na oku raczej przystępny wykład. Przedstawia zmiany, które dokonywały się w świecie po pierwszej wojnie światowej, wnika w istotę politycznych konfliktów i wstrząsu określanego mianem drugiej wojny światowej i w ten sposób daje rodowód współczesnych zagadnień ustrojowych i demokracji ludowej w Polsce.

Książka jest dobrze zbudowana. Ujmuje w jednolitą i logiczną całość główne zagadnienia ekonomiczne, społeczne, ustrojowe i polityczne naszych lat i dni — aż po najbardziej aktualne sprawy bieżące. Główną jej zaletą jest przystępność, której autor trzyma się pomimo rozlicznych trudności, tkwiących w naturze przedmiotu.

Książeczka może liczyć na powodzenie.

Józef Sieradzki

TYDZIEN BIBLIOGRAFICZNY

PODRĘCZNIKI

O. Cieślińska — H. Nieniewska. Aux quatre coins de la France. Podręcznik do nauki języka francuskiego dla III kl. gimnazjalnej. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 259 i 1 nl. — 84 zł.

Inż. Wincenty Czerwiński. Podręcznik warsztatowy. (Metody i instrukcje) cz. I. Początki ślusarstwa na I kl. gimnazjum mechanicznego. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 112. — 75 zł.

Klara Jastroch. Readings about England and America. Podręcznik języka angielskiego na IV i V rok nauczania. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 223 i 1 nl. — 90 zł.

Rok 52. Wydawnictwo im. Tadeusza Kościuszki. Nr. 34. **Dr. Emil Godlewski.** Pogadanka o pokarmach roślinnych i sztucznych nawozach. Wydanie III. Poznań, Kasper Wojnar, 1946; str. 119 i 1 nl.

Zenon Klemensiewicz. Gramatyka współczesnej polszczyzny kulturalnej w zarysie. Wrocław, Książnica—Atlas, 1946; str. 179 i 1 nl. — 240 zł.

Włodzimierz Michajłow. O nowy typ podręcznika biologii. Wydanie drugie, uzupełnione. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 35 i 1 nl. — 25 zł.

Biblioteka Popularno-Naukowa. Seria geograficzna. **Janina Przeworska.** Kolorowe dzieci. Z ilustracjami **Janiny Rozen.** Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 144. — 70 zł.

Eugeniusz Romer. Mały atlas geograficzny. Wydanie czternaste. Wrocław, „Książnica-Atlas", 1946.

Jan Samsonowicz. Geologia z początkami mineralogii. Z 97 rycinami i mapką geologiczną Polski. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 132. — 45 zł.

Inż. Rajmund Sosiński. Podstawy elektrotechniki. Dla liceów zawodowych. Cz. II. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 219 i 1 nl. — 180 zł.

Aleksander Weryha. Geometria. Cz. I. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 203 i 5 nl. — 70 zł.

Bronisław Wieczorkiewicz. Ćwiczenia ortograficzne. Klasa VI. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 55 i 1 nl. — 30 zł.

Tadeusz Żeromski. Poradnik dla reżyserów początkujących ochotniczych zespołów teatralnych. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 39 i 1 nl. — 30 zł.

Biblioteczka Francuska. Z. 4. **Charles Vildrac.** Découvertes. Opracowała **Anna Garnyszowa.** Wydanie autoryzowane, drugie. Wrocław, Książnica—Atlas, 1946; str. 27 i 1 nl. — Z. 11. **Romain Rolland.** Le Jeu de l'Amour et de la Mort. Opracowała **Henryka Landy.** Wydanie autoryzowane, drugie. Tamże; str. 93 i 3 nl. — Z. 16. Le Roman de Tristan et Yseult. Renouvellé par **Joseph Bédier.** Adapté et commenté par **Anna Ratyńska.** Wydanie skrócone, autoryzowane, drugie. Tamże; str. 79 i 1 nl. — Z. 17. Beaumarchais. Le mariage de Figaro. Comédie. Adaptée et commentée par **Irena Mayzel.** Wydanie drugie. Tamże; str. 128.

POEZJA

Paweł Hertz. Dwie podróże. (Kraków), „Czytelnik", 1946; str. 74 i 2 nl. — 150 zł.

PROZA LITERACKA

Helena Boguszewska. Ci ludzie. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1946; str. 2 nl i 200. — 250 zł.

Zofia Nałkowska. Medaliony. (Kraków), „Czytelnik", 1946; str. 87 i 3 nl. — 160 zł.

AUTOBIOGRAFIA

Żywoty Nieurojone. Tom 1. **Prof. Dr Ludwik Hirschfeld.** Historia jednego życia. (Kraków), „Czytelnik", 1946; str. 369 i 3 nl. — 700 zł.

HISTORIA

Zbyszko Bednorz. Śląsk wierny Ojczyźnie. Poznań, Wydawnictwo Zachodnie, 1946; str. 78 i 2 nl. — 130 zł.

Wydawnictwa Instytutu Śląskiego. Seria II. 5. **Kazimierz Piwarski.** Historia Śląska w zarysie. Katowice, 1947; str. 448. — 450 zł.

Jan Reychman. Zagadnienie osadnictwa wołoskiego w Karpatach w rumuńskiej literaturze naukowej lat ostatnich. Odbitka z „Roczników Historii Społeczno-Gospodarczej". Poznań, 1946; str. 8.

ZAGADNIENIA GOSPODARCZE

Wydawnictwa Instytutu Śląskiego. Zagadnienia Gospodarcze. Seria II. 2. **Józef Zwierzycki.** Złoża surowców mineralnych na Dolnym Śląsku w oświetleniu gospodarczym. Katowice, 1946; str. 32 i 1 mapka. — 50 zł.

ETNOGRAFIA

Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Seria monografii i rozpraw. Tom 34. **Dr Jan Czekanowski.** Co się właściwie dzieje w Europie? Lublin, 1946; str. 126 i 2 nl. — 125 zł.

PUBLICYSTYKA

Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Seria „Wykłady i przemówienia". 10. **Ignacy Czuma.** Moralny koszt współczesnej wojny. Lublin, 1946; str. 50 i 2 nl. — 50 zł.

INSTRUKCJE

Instytut Zachodni. Instrukcja dla piszących pamiętniki z czasów okupacji niemieckiej. Opracowana przez **Komisję Historyczną Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.** Poznań, 1946; str. 23 i 2 nl. — 10 zł.

KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY

Biblioteczka Młodego Czytelnika. Przekłady z Literatur Obcych. 2. **Lew Tołstoj.** Dzieciństwo. Przełożył **Paweł Hertz.** (Kraków), „Czytelnik", 1946; str. 155 i 5 nl. — 150 zł.

Halina Górska. Chłopcy z ulic miasta. Warszawa, „Książka", 1946; str. 62 i 2 nl. — 70 zł.

Wacława Potemkowska. Wielki spór (w piątej klasie). Wydanie trzecie. Warszawa, Trzaska, Evert, Michalski, 1946; str. 131 i 1 nl. — 300 zł.

Witold Zechenter. W babskim domku. Powieść dla młodzieży. Ilustracje: **Zdzisław Czaczko i Antoni Święty.** Kraków, Księgarnia Wydawnicza L. J. Jaroszewski, 1946; str. 199 i 1 nl. — 240 zł.

ŻYCIE MUZYCZNE W KRAKOWIE

Drugi w bieżącym sezonie koncert Filharmonii z udziałem muzyków czeskich jako gości był jednym z najciekawszych i najbardziej udałych. Zawarliśmy znajomość z dyrektorem Filharmonii w Pradze, **Rafaelem Kubelikiem**, który wystąpił jako dyrygent, wykonując szereg dzieł z czeskiej literatury muzycznej: Smetany Uwerturę do „Sprzedanej narzeczonej", Dworaka Symfonię „Z Nowego Świata" i IV Symfonię Bogusława Martinu, czołowego kompozytora doby współczesnej.

Rafael Kubelik, syn słynnego skrzypka, tak dobrze znanego w Polsce w okresie międzywojennym z licznych koncertów, jest jako dyrygent zjawiskiem fascynującym. Można by go określić jako wirtuoza orkiestry, gdyby nie to, że określenie takie zakłada pewną drugoplanowość czynnika muzycznego na rzecz samej techniki. A. R. Kubelik jest właśnie w równej mierze znakomitym technikiem jak i muzykiem Nie wiadomo, co bardziej w nim podziwiać należy: czy jego znakomite opanowanie aparatu instrumentalnego, pewność ręki, umiejętność plastycznego wydobycia każdego motywu i przynależnej doń atmosfery, czy jego wrażliwość na samo zjawisko dźwiękowe, jego duży, żywiołowy temperament artystyczny. Każdy utwór staje się pod jego ręką żywym organizmem; nie ma tu nic z rutyny, z szablonu, jest zawsze najbardziej sugestywna bezpośredniość. Najwymowniejszym tego dowodem był sposób ujęcia i wykonania Uwertury do „Sprzedanej narzeczonej", którą Kubelik od razu zdobył publiczność.

Bogusław Martinu, który jako młody kompozytor zwrócił na siebie uwagę już przed wojną na festiwalach Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej, dziś uchodzi na Zachodzie za jednego z najwybitniejszych twórców współczesnych. Trudno powiedzieć coś na ten temat na podstawie samej tylko wykonanej w Krakowie IV Symfonii, podobnie, jak trudno się zorientować w ewolucji, jakiej uległ jego talent w ostatnich latach. Wydaje się, że była to droga od języka międzynarodowego do tradycji narodowych. Wskazuje na to wyraźne nawiązanie do tradycji klasyków czeskich. W IV Symfonii Martinu jest niewątpliwie dużo dobrej, poważnej, szczerze przeżytej muzyki, jest doskonała technika i znajomość rzemiosła, nie przynosi ona jednak jakichś nowych wartości odkrywczych. Wszystko to już było kiedyś powiedziane — takie ma się wrażenie — i to powiedziane w podobny sposób, a już stanowczo trudno się często zgodzić z zastosowanym typem instrumentacji. Oczywiście wszystkie te uwagi dotyczą tylko samego utworu i — jak już zaznaczyłam — nie mogę miarodajnie osądzić indywidualności kompozytora.

Orkiestra Filharmonii Krakowskiej miała niewątpliwie jeden ze swoich najlepszych wieczorów. Mamy nadzieję, że gość z Pragi, który od pierwszej chwili nawiązał tak bliski kontakt z orkiestrą i publicznością, nie da nam długo czekać na swe dalsze występy w Krakowie.

Stefania Łobaczewska

KRONIKA ILUSTROWANA



ALEKSANDER WIELHORSKI
odbywa obecnie tournée koncertowe po USA zdobywając uznanie prasy i publiczności amerykańskiej



LEON SCHILLER
na scenie Teatru Wojska Polskiego w Łodzi wystawił „Krakowiaków i Górali" Bogusławskiego

„SPRZYSIĘŻENIE"

„Du catholicisme littéraire
à la pornographie vulgaire
il n'y a qu'un pas à faire"
Voltaire

Posłuchajcie, ludkowie,
co się stało w Krakowie
jakby na złość, naumyślnie
na świętej ulicy Wiślnej
pod Nomerem Dwanaście.

Stał tam dom szanowany,
weiż w niem grały organy,
czy to liryk, czy to technik
przed „Tygodnikiem Powszechnym"
kużden czapkę zdejmował.

No i szło coraz lepiej
w tym dewocyjnym sklepie,
pierwszorzędnie rozrabiali
katolicki personalizm
na chwałę Vatikanu.

Ale pewnego rana
rzekł Pan Bóg do Szatana:
— Więdniesz w piekle jak ten fikus,
zrób lepiej na Wiślnej psikus
pod Nomerem Dwanaście.

Dla Szatana to śmiechy,
zaraz kupił katechizm,
a od góry rączką zwinną
nakleił okładkę inną
i z tym idzie do xiędza.

Xiądz założył monokiel.
Czyta. Chwali. Głębokie.
Dekalogi. Akty Wiary.
To po prostu nie do wiary!
romans teologiczny.

Całe zbiegło się kworum
doctorum, redactorum,
wszystko tańczy, wszystko śpiewa,
do biskupa Gołubiewa
wysyłają telegram.

A tymczasem na mieście
insze były tam treście,
niby ten sam tytuł w przedzie,
ale w środku, strach powiedzieć:
PRZYGODY PEDERASTÓW.

A jak to „Sprzysiężenie"
kupił pewien zboczeniec,
to w tramwaju z książką zemdlał,
włosy mu stanęły dęba
i się zaraz nawrócił.

Stąd ten morał wynika
dla brata katolika:
CHOĆ ZŁĄ SPRAWĘ SZATAN POPRZE,
WSZYSTKO SIĘ ZAKOŃCZY DOBRZE,
PIJMY ZDROWIE SZATANA.

K. I. Gałczyński

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH*)

ANKIETA „ODRODZENIA"

Julian Bonder: Latem 1939 r., przed samym wybuchem wojny, miał rozpocząć się druk większej mojej rozprawy z dziedziny zastosowań teorii równań całkowych do zagadnień tłumienia drgań wymuszonych, na które bywają narażone ramowe ustroje sprężyste. Zachowałem odbitkę maszynopisu. Trudno mi jednak myśleć w chwili obecnej o wydaniu zarówno tej pracy, jak i paru innych przyczynków naukowych z zakresu efektywnych odwzorowań wiernokątnych — dziedziny, w której pracuję od lat kilkunastu. Pomijając już nawet przeszkody natury technicznej, chciałoby się i powinno przecież sprawdzić, przed opublikowaniem własnych wyników, czego dokonano w tej dziedzinie za granicą w latach wojennych. Tymczasem brak nam zupełnie czasopism naukowych i naukowo-technicznych z okresu wojennego. Piszę o tym, gdyż sądzę, że w podobnie trudnej sytuacji jest u nas spora garstka autorów prac naukowych.

Nie będzie chyba paradoksem teza, że bez porównania łatwiej można dobrze wyłożyć matematykę słuchaczom wydziałów matematyczno-przyrodniczych niż przyszłym inżynierom! Mimo licznych prób, wciąż ponawianych, bardzo dalecy jesteśmy od dobrego rozwiązania nasuwających się tu dylematów: przede wszystkim pogodzenia ścisłości logicznej wnioskowań matematycznych z przystępnością wykładu oraz właściwego uwzględnienia zastosowań fizycznych i technicznych matematyki. Jeszcze jedną taką próbą ma być opracowywane obecnie przeze mnie ujęcie tego przedmiotu — na razie w postaci skryptów moich wykładów matematyki na Wydziale Mechanicznym Politechniki Śląskiej.

Z powyższym wiąże się też — najczęściej dyskretnie pomijana bądź zupełnie szablonowo traktowana — subtelna kwestia ujawnienia zależności najbardziej nawet abstrakcyjnych pojęć matematycznych od rzeczy i stosunków otaczającego nas świata materialnego. Sprawy te nie dają mi spokoju od lat wielu. A należą przy tym do tej kategorii zagadnień, w których im dalej się zagłębiać, tym więcej dostrzega się trudności. Dlatego nie wiem, czy i kiedy zdecyduję się cośkolwiek z tego zakresu ogłosić.

Adam Krzyżanowski: Księgarnia E. Kuthana w Krakowie ogłosiła moją książkę „Wiek XX. Zarys dziejów najnowszych" Polityka zagraniczna Anglii, Niemiec i Stanów Zjednoczonych stanowi tu główny temat wywodów. W Szkole Nauk Politycznych Wydziału Prawa U. J. rozpocząłem cykl wykładów, stanowiących streszczenie tej książki.

*) Por. odpowiedzi w nr nr 68—92 i 94—95 i 105—107 i 110—111 „Odrodzenia".

KORESPONDENCJA

SPROSTOWANIE

Do redaktora „Odrodzenia"

W artykule moim pt. „Zapiski z Macochy" w nr 1 (110), w szpalcie pierwszej, w. 28 od dołu, zamiast „straszą i łudzą" ma być „łudzą".

Julian Przyboś (Kraków)

DLA ODPRĘŻENIA NERWÓW

W świeżo wydanym zbiorze felietonów „Po prostu" przypomniał Jan Kott osobliwą postać „Władysława V, króla Polski, Węgier i Czech, Wielkiego Księcia Litwy, Śląska i Ukrainy i hospodara Mołdawii", onże hrabiego Potockiego of Montalk, o którym pisały już przed wojną „Wiadomości Literackie", bo tłumaczył wiersze i przybył do Warszawy ubrany w purpurową togę i sandały. (Nawiasem mówiąc, ciekawe, co się stało z jego bratem sjamskim na tronie polskim, królem Zygmuntem IV, w księgach cywilnych zapisanym bez uszanowania jako zwyczajny pan Zygmunt Wirski).

Kott liczył się z góry z nieufnością czytelników i zakończył swe opowiadanie o „Spotkaniu z królem" uwagą: „najzabawniejsze z tej całej historii jest to, że jest zupełnie prawdziwa". Prawdziwa? Mało że prawdziwa! Ma ona jeszcze ciąg dalszy i, być może, mieć go będzie nadal. Władysław V jest bowiem monarchą pełnym temperamentu i właśnie zajęła się nim na nowo prasa brytyjska — i nie tylko brytyjska!

A oto co doniósł swemu pismu londyński korespondent szwedzkiego dziennika „Aftonbladet":

„Brytyjskie ministerstwo spraw zagranicznych w uroczystym oświadczeniu odmówiło polskiemu pretendentowi do tronu hr. Potockiemu prawa do suwerenności. Deklarację wydano w związku ze skargą z powodu niepłacenia przez pretendenta czynszu najmu. Pretendent oświadczył, że wobec zdjęcia jego prywatnej chorągwi z domu, w którym mieszkał, wstrzymuje wypłatę umówionego komornego. Odbyła się rozprawa, w czasie której Potocki podkreślił, że jest polskim królem i żąda dla siebie praw dyplomatycznych. Prokurator odczytał orzeczenie ministerstwa: „Osoba nazywająca się hrabią Potockim, nie jest uznana przez rząd JKMości za suwerenną". W wyniku sąd orzekł, że hrabia musi albo płacić albo opróżnić mieszkanie".

Czyż może być większy dowód pokojowych nastrojów niż ta rozniesiona po świecie historyjka?

Jaszcz

KŁOPOTY NADWRAŻLIWOŚCI

Drogi Janek Kott pogniewał się na mnie za dobroduszną notatkę, prostującą jego gaffę o „inkrojablach" (każdemu może się zdarzyć, czyli hodie tibi, cras mihi) i napisał dłuższy wywód polemiczny, gdzie i 18 Brumaire się znalazł, i Benjamin Constant, i pani de Staël, i sprawa ruchu razou, i wiele innych spraw — zabrakło tylko... sprostowania moich wywodów. Dlaczego zabrakło? Bo go być nie mogło. Kott zresztą sam mi przyznaje, że „wypisałem pół stroniczki encyklopedii". No, a lepiej zaufać encyklopedii niż pamięci.

Stare sztychy w Musée Carnavalet obejrzę chętnie w towarzystwie Kotta i Malwiny — miło odświeżyć dawne wrażenia. Ale to sprawy osobiste. Nie zabrałbym już głosu, aby odpowiadać Kottowi, gdyby się nie uparł, że nazwa „inkrojable" powstała za cesarstwa i że w opozycji muskadynów można by się dopatrzyć czegoś w rodzaju liberalizmu. Encyklopedia, drogi Janku, encyklopedia! „Stoi" w niej niestety, że „inkrojable" (nazwa też) to wynalazek 1794 r., gdy Napoleon był jakobińskim awanturnikiem, niepewnym głowy. I można się też z niej dowiedzieć, że doszukiwanie się liberalizmu u „inkrojablów" to próżny trud, coś tak, jak — to już mój dodatek — dopatrywanie się liberalnego ukłonu w antysanacyjnej działalności opozycyjnej młodzieży faszystowskiej sprzed 1939 r.

P. S. Bardzo lubię czytać dowcipy o sobie, a nawet zahartowany jestem na wymyślania. Z prawdziwą przyjemnością doceniam też dobry dowcip Kotta, zwłaszcza w porównaniu z nieco prowincjonalnymi dowcipami Kisiela. Dobry żart tynfa wart. Chodźmy na wódkę.

Jaszcz

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK — Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata kwartalna 180 zł.
M — 16668 Złożono w Drukarni Narodowej, odbito w Pierwszej Drukarni Państwowej w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".